

Stany Zjednoczone wobec kryzysów regionalnych – aspekt transatlantycki

Jadwiga Kiwerska

- Administracja Baracka Obamy, po objęciu władzy w 2009 r., została skonfrontowana z dwiema trudnymi wojnami, toczonymi z udziałem amerykańskich żołnierzy: w Afganistanie oraz Iraku. W przypadku Iraku sytuacja wydawała się bardziej klarowna – można było mówić o pewnej stabilizacji, a ponadto istniał już plan całkowitego wycofania stamtąd amerykańskich oddziałów. Natomiast w Afganistanie sytuacja, zamiast ulegać poprawie, stawała się coraz trudniejsza. Następowła eskalacja działań zbrojnych grup.
- W odniesieniu do Afganistanu problem polegał też na tym, że formalnie była to operacja wojskowa pod flagą NATO, dotykała więc bezpośrednio relacji transatlantyckich. Zatem formułowane w Waszyngtonie plany strategiczne wobec Afganistanu stanowiły za każdym razem swego rodzaju wyzwanie dla sojuszników europejskich i były testem ich gotowości realizowania misji *out of area*. Z perspektywy amerykańskiej Europa tego testu nie zdała – sojusznicy europejscy wykazali zbyt daleko idącą asertywność wobec oczekiwań administracji Obamy.
- Kolejny konflikt zbrojny, jaki przejął po swych poprzednikach Obama, toczył się na Bliskim Wschodzie. Nowa administracja proklamowała „własną drogę” rozwiązania sporu izraelsko-palestyńskiego, która miała polegać m.in. na wyraźniejszym artykułowaniu racji Palestyńczyków i popieraniu ich postulatów, co było bliskie stanowisku wielu państw europejskich. Jednak w efekcie Obama utracił zaufanie strony izraelskiej, która zarzucała prezydentowi brak zrozumienia dla jej interesów. Trudno było zatem mówić o jakimkolwiek postępie w procesie pokojowym.
- Tymczasem na początku 2011 r. świat został skonfrontowany z „arabską wiosną”. W przypadku Stanów Zjednoczonych mieliśmy do czynienia z tzw. islamskim dylematem – obalane przez arabską ulicę autorytarne reżimy często należały do głównych sojuszników Ameryki w regionie. Z drugiej strony wspólna zbrojna akcja USA i części sojuszników europejskich w Libii, ze względu na swój charakter, stanowiła precedens w relacjach transatlantyckich. Także polityczne i gospodarcze wsparcie dla procesu transformacji krajów arabskich mogło być traktowane jako ważne spoiwo wspólnoty transatlantyckiej.

IZ Policy Papers

W serii ukazały się:

Nr 1(I)

Historia i pamięć: masowe przesiedlenia 1939-1945-1949

Nr 2 (I)

Odradzanie się społeczeństwa obywatelskiego.

Rozwój polskiego trzeciego sektora w latach 1989-2008

Nr 3(I)

Międzynarodowa solidarność.

Operacje pokojowe ONZ -NATO -UE

Nr 4 (I)

Polska i Niemcy w Unii Europejskiej (2004-2009).

Główne problemy i wyzwania

Nr 5(I)

Przyszłość NATO – trudne decyzje

Nr 6(I)

Mocarstwowe aspiracje Niemiec w Europie XXI wieku:

realia i perspektywy (Raport z badań)

Jadwiga Kiwerska

**Stany Zjednoczone
wobec kryzysów
regionalnych
– aspekt transatlantycki**



INSTYTUT ZACHODNI

Seria wydawnicza: „IZ Policy Papers” nr 7(I)

Redakcja serii: Joanna Dobrowolska-Polak (red. naczelna)
Piotr Cichocki
Marta Götz

Opracowanie redakcyjne: Hanna Różanek
Koncepcja graficzna: Ewa Wąsowska

© Copyright by Instytut Zachodni

Poznań 2013 (wersja elektroniczna)
Poznań 2013 (wersja drukowana)

Wydawca: INSTYTUT ZACHODNI
61-854 Poznań, ul. Mostowa 27
tel. 61 852 76 91
tel 61 852 28 54 (wydawnictwo)
fax 61 852 49 05
e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl
www.iz.poznan.pl

ISBN 978-83-61736-38-7

Spis treści

WSTĘP	7
1. Irak i Afganistan – dwie wojny w spadku	9
2. Konflikt bliskowschodni – brak sukcesów	27
3. Rewolucja w świecie arabskim – „islamski dylemat”	37

WSTĘP

Od kilku dziesięcioleci Stany Zjednoczone pełnią rolę „policjanta świata”, interweniującego w różnych regionach globu i w sprawach, które często nie miały bezpośredniego związku z amerykańskim *vital interest*. Szczególne pod tym względem były lata dziewięćdziesiąte XX w., gdy to Stany Zjednoczone – po upadku Związku Radzieckiego – funkcjonowały na arenie międzynarodowej jako jedyne supermocarstwo, od którego woli i decyzji często zależał bieg spraw w świecie, a jego zbrojne operacje przesądzały o rozwiązaniu konfliktów. Z kolei prezydentura George’a W. Busha to czas, w którym dokonana została zasadnicza zmiana pozycji i roli Ameryki w świecie. Przede wszystkim mniejsza była możliwość wpływania USA na sytuację międzynarodową, osłabła ich skuteczność w rozwiązywaniu problemów globalnych. Paradoksalnie był to w pewnym stopniu efekt nadmiernej i kontrowersyjnej aktywności administracji Busha na arenie międzynarodowej, szczególnie konsekwencja zbrojnej interwencji w Iraku. Dlatego po ośmiu latach urzędowania ekipy Busha jr. prestiż i pozycja Ameryki w świecie były dramatycznie niskie.

Nie dziwi zatem fakt, że nowy prezydent Barack Obama jako priorytet swojej prezydentury uznał odbudowę autorytetu i rangi Stanów Zjednoczonych. Zamierzał to uczynić przede wszystkim stawiając na *soft power*, a ograniczając lub wręcz odrzucając siłowe rozwiązywanie problemów i konfliktów. Zarówno do sojuszników, jak i adwersarzy skierowano ofertę współpracy na arenie międzynarodowej, działań dyplomatycznych i prowadzenia dialogu. Równocześnie jednak administracja Obamy musiała podjąć wyzwania i problemy, których rozwiązanie lub przezwyciężenie wymagało bardziej skutecznego i jednoznacznego instrumentarium działania niż tylko dyplomacja. Taka bowiem była sytuacja w świecie, gdzie nadal toczyły się wojny, istniały nierozwiązane konflikty, a dynamika wydarzeń rodziła nowe zagrożenia i zmuszała do podejmowania trudnych decyzji. Wobec takich wyzwań zapowiadana przez ekipę Obamy zmiana stylu uprawiania polityki mogła okazać się nieskuteczna, a nawet zgubna. Waszyngton był więc zmuszony uciekać się również do takich środków działania na arenie międzynarodowej, które wydawały się sprzeczne z pierwotnymi założeniami Obamy.

Główne konflikty regionalne, z którymi została skonfrontowana administracja Obamy, to: wojny w Iraku i Afganistanie, spór bliskowschodni oraz „arabska wiosna”. Irak i Afganistan to bezpośredni spadek po „epoce” Busha, zaś konflikt izraelsko-palestyński był swego rodzaju „węzłem gordyjskim”, czekającym na swe rozwiązanie od kilkudziesięciu już lat. Z kolei wybuch społecznego niezadowolenia w krajach arabskich Afryki i Bliskiego Wschodu na początku 2011 r. okazał się wyzwaniem o ogromnej sile oddziaływania i skutkach, które trudno jeszcze jednoznacznie ocenić. W każdym razie były

to wydarzenia, które postawiły Waszyngton w niełatwej sytuacji, zmuszając go do działania niejako wbrew swej woli.

Jaki zatem charakter miała amerykańska polityka w odniesieniu do politycznych kryzysów i konfliktów regionalnych, z którymi przyszło zmagać się administracji Baracka Obamy? Czy zastosowane środki działania okazały się właściwe i skuteczne? Czy służyły one odbudowie pozycji i znaczenia Ameryki w świecie, a zwłaszcza umocnieniu relacji w ramach wspólnoty transatlantycznej? Warto dokonać takiej analizy i bilansu polityki amerykańskiej, wszak Stany Zjednoczone stanowią niezbędny czynnik bezpieczeństwa światowego i – chcąc nie chcąc – nadal pełnią w powszechnej świadomości rolę „światowego żandarma”.

1. Irak i Afganistan – dwie wojny w spadku

Warto uzmysłwić sobie wyjątkowość sytuacji, w jakiej znalazł się Barack Obama, obejmując w styczniu 2009 r. najwyższy urząd w państwie. Jego administracja została skonfrontowana nie tylko z największym od dziesięcioleci kryzysem gospodarczym o wymiarze globalnym, ale również z dwiema trudnymi wojnami, toczonymi z udziałem amerykańskich żołnierzy. Była to sytuacja w dziejach Ameryki niemalże bez precedensu. Nie pomniejszając wagi wyzwania, jakim było załamanie gospodarcze w Stanach Zjednoczonych i świecie, to odziedziczone po administracji George'a W. Busha konflikty w Afganistanie oraz Iraku – siłą rzeczy – musiały się znaleźć na czele listy priorytetów nowego gospodarza w Białym Domu. Oba konflikty nie tylko symbolizowały zmagania z terroryzmem, ale przede wszystkim – według licznych opinii – potwierdzały słabnącą potęgę Stanów Zjednoczonych. Okazało się bowiem, że państwo dysponujące największym arsenałem militarnym nie mogło ani opanować sytuacji w dwudziestoczwieromilionowym Iraku, ani podołać strategicznemu wyzwaniu, jakim w Afganistanie byli talibowie i inne grupy terrorystyczne, w tym niedobitki Al-Kaidy.

W przypadku Iraku sytuacja – chociaż nadal trudna – to jednak wydawała się wówczas bardziej klarowna. Jeszcze w grudniu 2008 r. odchodzący z urzędu prezydent G. W. Bush podpisał z irackim premierem Nuri al Malikim „akt bezpieczeństwa”, który przewidywał – obok wyjścia amerykańskich wojsk z miast Iraku już w połowie 2009 r. – całkowite wycofanie żołnierzy USA do końca 2011 r. Takie plany były możliwe głównie dlatego, że pod koniec 2008 r., kiedy w Waszyngtonie dokonywała się zmiana władzy, nad Tygrysem i Eufratem było znacznie spokojniej i bezpieczniej niż w Afganistanie. Był to efekt m.in. skutecznej taktyki gen. Davida Petraeusa, który w styczniu 2007 r. objął dowództwo wojsk w Iraku. Najpierw wzmocnił liczebnie amerykański kontyngent, a następnie rozpoczął realizację strategii, polegającej na pozyskiwaniu sojuszników, nawet wśród tych zbrojnych i radykalnych grup, które dotychczas były ustosunkowane wrogo do Ameryki oraz irackich sił rządowych. Z czasem rebelianci i przywódcy lokalnych plemion stopniowo przyłączali się do proamerykańskiej milicji „Przebudzenie”, skuszeni m.in. obietnicami udziału we władzy lokalnej lub wręcz comiesięcznym żołdem. Strategia gen. Petraeusa spowodowała, że w stosunkowo krótkim czasie udało się ograniczyć liczbę zamachów i walk w całym kraju. Choć trudno było mówić o pełnym sukcesie, to jednak postęp był ewidentny. Pozwoliło to określić w konkretnej już perspektywie czasowej datę opuszczenia Iraku przez wojska amerykańskie.

Gdy więc w styczniu 2009 r. Obama przejmował urząd prezydenta, kwestia dalszej obecności wojsk amerykańskich w Iraku została – przynajmniej w ogólnych zarysach – rozstrzygnięta. Jednak podczas walki wyborczej Oba-

ma zapowiadał, że wycofa wojska z Iraku w ciągu 16 miesięcy od przejścia władzy w Białym Domu, a więc do czerwca 2010 r. Zresztą krytyka wojny w Iraku, zasługującej bardziej niż cokolwiek innego na określenie „wojna Busha”, była motywem przewodnim w całej kampanii prezydenckiej kandydata Partii Demokratycznej¹. Jednak już jako prezydent, po konsultacjach z dowództwem wojskowym oraz po analizie sytuacji, Obama nieco zweryfikował swoje obietnice przedwyborcze. Przedstawiając 27 lutego 2009 r. plany wobec Iraku, prezydent zapowiedział wycofanie do 31 sierpnia 2010 r. wszystkich oddziałów bojowych z Iraku (90-100 tys. żołnierzy). Pozostała część kontyngentu – około 50 tys. żołnierzy – stacjonować miała jeszcze przez następne kilkanaście miesięcy, do końca 2011 r., czyli daty określonej w „pakcie bezpieczeństwa”. Oddziały te miały zajmować się szkoleniem i doradzaniem armii irackiej oraz pomagać przy umacnianiu demokracji. „Zachowamy też zdolność do prowadzenia ograniczonych operacji przeciw terrorystom” – zapewniał Biały Dom. Wydaje się, że podejście Obamy do kwestii Iraku okazało się w gruncie rzeczy bardzo pragmatyczne, podyktowane uznaniem faktu, że w ten sposób, wprowadzając łamiąc obietnice wyborcze, będzie można zrealizować przynajmniej częściowe cele – pozostawić względnie stabilny Irak².

Generalnie plany Białego Domu spełniały oczekiwania większości Amerykanów co do wycofania amerykańskich żołnierzy z Tygrysu i Eufratu – zadowolali polityków Partii Demokratycznej, choć niektórzy z nich spodziewali się szybszej i większej redukcji amerykańskiego kontyngentu, odpowiadały także Partii Republikańskiej, gdyż nie zakładały natychmiastowego opuszczenia Iraku. Jednak budziły też wiele wątpliwości. Najważniejszym pytaniem pozostało to, czy po wycofaniu amerykańskich żołnierzy z Iraku nie dojdzie tam do nowych aktów przemocy, nie powróci chaos i rebelia. Wystarczyło zauważyć, że gdy tylko amerykańskie wojsko – zgodnie z zapisami w „pakcie bezpieczeństwa” – opuściło w czerwcu 2009 r. miasta irackie, doszło do wzrostu przemocy. W zamachach bombowych i atakach na ważne obiekty zginęły setki cywili, funkcjonariuszy irackich sił bezpieczeństwa oraz żołnierzy amerykańskich³.

Z drugiej strony trudno było nie dostrzec faktu, że ponad 750 tys. irackich żołnierzy i policjantów, wyszkolonych i wyposażonych przez siły międzynarodowe, starało się utrzymać kraj w ryzach. Może nie w sposób doskonały, ale jednak zręby demokracji funkcjonowały na różnych szczeblach administracji irackiej. Należało mieć nadzieję, że ogromne koszty, jakie do końca 2009 r.

¹ Obama w przeciwieństwie do większości Demokratów nie był obciążony w żadnym stopniu odpowiedzialnością za interwencję w Iraku, gdyż nie zasiadając na Kapitolu w 2002 r., gdy decydowano o wojnie, nie musiał w tej sprawie głosować; zob. szerzej M. S. Indyk, K. G. Liebenthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History. Barack Obama's Foreign Policy*, Brookings Institution Press, Washington 2012, s. 73, 74.

² M. E. O'Hanlon, *Obama's Iraq Legacy*, July 13, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/07/13-obama-iraq-ohanlon.

³ Szerzej: J. Kiwerska, *Świat w latach 1989-2009. Wydarzenia – konflikty – procesy*, Poznań 2009, s. 377.

pociągnęła za sobą interwencja amerykańska w Iraku (przez ponad 6 lat zginęło blisko 4300 Amerykanów oraz 448 żołnierzy innych państw, liczba cywilnych ofiar wśród Irakijczyków to około 100 tys.; Stany Zjednoczone wojna ta kosztowała już ponad 500 mld USD, zaś 50 mld USD przeznaczyły na odbudowę Iraku), nie poszły na marne.

Potwierdzeniem tego, że sytuacja w Iraku rzeczywiście zmierza w lepszym kierunku i kraj się stabilizuje, była realizacja kolejnych etapów procesu wycofywania amerykańskich żołnierzy. W sierpniu 2010 r. prezydent Obama ogłosił „koniec operacji wojskowych”, co oznaczało opuszczenie Iraku przez amerykańskie oddziały bojowe; 50 tys. pozostawionych żołnierzy miało głównie za zadanie kontrolować sytuację, a właściwie przypominać swoją obecnością, że w razie konieczności amerykański kontyngent może się włączyć do działań zbrojnych. Dotrzymano również terminu wycofania ostatnich oddziałów amerykańskich. W nocy z 17 na 18 grudnia 2011 r. ostatnia kolumna wozów pancernych przekroczyła granice Kuwejtu (pozostało w Iraku około 3 tys. żołnierzy amerykańskich, co miało bardziej niż symboliczny charakter)⁴, a Leon E. Panetta, sekretarz obrony USA na skromnej ceremonii w Bagdadzie oficjalnie zakończył wojnę w Iraku. Wymownym był fakt, że Panetta nie ogłaszał zwycięstwa ani nie użył tradycyjnej formuły o „wypełnieniu misji”. Wynikało to ze świadomości ogromu kosztów, jakie pociągnęła za sobą interwencja amerykańska w Iraku. Były to koszty o charakterze ludzkim, materialnym i – *last but not least* – politycznym, związanym z głębokim kryzysem we wspólnocie transatlantyckiej oraz osłabieniem rangi USA na arenie międzynarodowej.

Jednak nie było to opuszczanie Iraku z poczuciem pełnej klęski, jak stało się to w przypadku Wietnamu. Mimo wszystko kraj ten wydawał się spokojniejszy niż był w okresie przed 2007 r. Co więcej, z każdym rokiem sytuacja stawała się lepsza⁵. Wprawdzie sporadycznie dochodziło do zamachów i ataków terrorystycznych, jednak kilkakrotnie już Irakijczycy mogli uczestniczyć w wolnych i uczciwie przeprowadzonych wyborach oraz referendum. Inną kwestią pozostał sposób sprawowania władzy przez zwycięskie w wyborach siły polityczne – zarzuty o dyktatorskie zapędy premiera al-Maliki nie były bezpodstawne⁶. Nie powiodły się zatem plany amerykańskich neokonserwatystów, które legły u podstaw interwencji w Iraku, że po obaleniu Saddama kraj ten stanie się modelem demokracji, promieniującym na cały Bliski Wschód. Natomiast coraz bardziej profesjonalnie działały irackie siły bezpieczeństwa i co najważniejsze – mieszkańcy Iraku dokonali skoku cywilizacyjnego z XIX w XXI wiek. Można było powiedzieć, że obalenie Saddama jakoś się Irakijczykom przysłużyło, mimo że opłacili to ponad 100 tys. śmiertelnych ofiar.

⁴ Zob. o kontrowersjach wokół utrzymania amerykańskich żołnierzy w Iraku: K. M. Pollack, *With a Whimper, Not a Bang*, November 2, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/1021_iraq_pollack.aspx?p=1.

⁵ M. E. O'Hanlon, *The Case for Staying in Iraq*, January 2, 2012, www.brookings.edu/opinions/2011/0912_iraq_ohanlon.aspx?p=1.

⁶ K. M. Pollack, *Understanding the Iraq Crisis*, December 30, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/1224_iraq_pollack.aspx?p=1.

Trudno uciec od pytania, czy warto było taką cenę zapłacić, podobnie jak pytaniem pozostaje, czy potrzebna była amerykańska interwencja zbrojna w Iraku i trwające blisko 9 lat zbrojne zaangażowanie USA nad Eufratem i Tygrysem. Spoglądając przez pryzmat interesów amerykańskich, pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie oraz ich relacji z sojusznikami, zwłaszcza europejskimi, odpowiedź wydaje się dość jednoznaczna. Wojna iracka, a zwłaszcza jej międzynarodowy kontekst – bezprecedensowy spór z niektórymi sojusznikami europejskimi, następnie przeciągający się i wymagający ogromnych nakładów oraz obfitujący w ofiary proces stabilizowania sytuacji w tym kraju, pociągnęły za sobą efekty przesądzające o deprecjacji roli Stanów Zjednoczonych w świecie, utracie przez nie wiarygodności, podważeniu zaufania do kompetencji amerykańskich strategów, a nawet osłabieniu *soft power* Ameryki⁷. Prezydent Obama próbował te złe tendencje odwrócić – zrealizowanie planów wycofania amerykańskich żołnierzy z Iraku dokonane w poczuciu, że przynajmniej cele częściowe zostały osiągnięte, temu właśnie służyło. Jednak „po Iraku” okazało się, że Ameryka nie jest w stanie tak sprawczo jak wcześniej oddziaływać na bieg spraw w świecie, przestała być hegemonem, zdolnym narzucić swój punkt widzenia oraz swoje rozwiązania, nawet siłą. Nie sposób było ignorować tego czynnika, szczególnie w relacjach Ameryki z jej europejskimi sojusznikami i partnerami.

Druga z toczonych przez Amerykę wojen – pod Hindukuszem – znajdowała się w momencie zmiany władzy w Waszyngtonie na znacznie trudniejszym etapie, niż było to w przypadku Iraku. Nie tylko brakowało oznak stabilizowania sytuacji, ale raczej nastąpiła wzmożona aktywność zbrojna talibów oraz innych grup rebeliantów. W odniesieniu do Afganistanu problem polegał jeszcze i na tym, że formalnie była to operacja wojskowa pod flagą NATO, dotyczyła zatem bezpośrednio relacji transatlantyckich i gotowości Europy do realizowania misji *out of area*. Gdy po zwycięskiej – jak początkowo sądzono – kampanii *Enduring Freedom* w Afganistanie kierowano tam na przełomie lat 2001 i 2002 siły międzynarodowe *ISAF* (*International Security Assistance Force*), w większości składające się z kontyngentów państw członkowskich NATO, sądzono, że będą one prowadzić działania głównie o charakterze policyjnym i porządkowym. Dlatego europejscy sojusznicy dość ochoczo włączyli się do tej misji. Warto przy okazji podkreślić, że była to pierwsza w historii Sojuszu operacja poza Europą. Jeszcze w sierpniu 2003 r., gdy siły *ISAF* przechodziły pod naczelne dowództwo Paktu Północnoatlantyckiego, dominowało przekonanie, że będzie to dalej misja głównie stabilizacyjna. Natomiast zbrojna walka z niedobitkami talibów i Al-Kaidy prowadzona będzie w ramach operacji *OEF* (*Operation Enduring Freedom*), głównie siłami amerykańskimi.

Tymczasem sytuacja w Afganistanie, zamiast ulegać poprawie, stawała się coraz trudniejsza. Okazało się, że sukces militarny USA w grudniu 2001 r. (obalenie sprzyjającego Al-Kaidzie reżimu talibów) nie przełożył się na ustabi-

⁷ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Bilans operacji irackiej dla Ameryki*, „Biuletyn Instytutu Zachodniego” nr 75/2012, www.iz.poznan.pl.

lizowanie politycznej i gospodarczej kondycji Afganistanu. Stosunkowo łatwe i szybkie zwycięstwo sprawiło, że Amerykanie nie docenili wrogów⁸. Wprawdzie pozostawili pod Hindukuszem około 10 tys. żołnierzy, ale właściwie kontrola nad konfliktem afgańskim została scedowana na Brytyjczyków i pozostałe, nieliczne oddziały sił międzynarodowych *ISAF* – w 2004 r. było w Afganistanie około 6,5 tys. żołnierzy Sojuszu. Natomiast uwagę Stanów Zjednoczonych pochłonęły przygotowania do inwazji na Irak, a później opanowanie chaosu w tym kraju. Na tych zadaniach skoncentrowano amerykański wysiłek zbrojny. Pozwoliło to talibom oraz ich radykalnym sojusznikom zebrać siły i podjąć walkę partyzancką na znaczącej części terytorium Afganistanu, zagrażając bezpośrednio władzy wspieranego przez Zachód prezydenta Hamida Karzaja w Kabulu. W 2006 r. sytuacja w Afganistanie stanowiła już problem o pierwszorzędym znaczeniu, wyzwanie zarówno dla amerykańskiej polityki, jak i ze względu na zaangażowanie NATO (wówczas dowództwo Sojuszu objęło kontrolę operacyjną nad całym Afganistanem) także dla wspólnoty transatlantyckiej, test na jej skuteczność i solidarność⁹.

Problem jednak polegał na tym, że niektóre kontyngenty narodowe, ze względu na stabilizacyjny i policyjny charakter misji, działały w ramach tzw. nawiasów (poszczególne państwa uczestniczące w siłach *ISAF* zapisały w nich warunki, pod jakimi ich żołnierze mogli w Afganistanie walczyć). Takie ograniczenia dla swych kontyngentów mieli np. Francuzi, Niemcy i Włosi. Oznaczało to – innymi słowy – brak gotowości wielu oddziałów państw członkowskich NATO, aby podjąć regularną walkę z rebeliantami. Ciężar walk spoczywał więc przede wszystkim na Amerykanach. Oni jednak, realizując niezwykle trudną operację w Iraku, nie byli w stanie w odpowiednim czasie i z odpowiednim potencjałem zaangażować się na froncie afgańskim. Talibowie stawali się zatem coraz groźniejsi. Sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu, gdy w efekcie skutecznej strategii gen. D. Petraeusa, prowadzonej w Iraku, do Afganistanu zaczęli przenosić się bojownicy i terroryści iraccy, zasilając partyzantkę talibów. Wraz z dżihadystami napływała też z Iraku nowa broń i środki do prowadzenia działań zbrojnych. Gdy więc w Iraku było coraz lepiej, położenie sił międzynarodowych w Afganistanie od początku 2008 r. dramatycznie się pogarszało. Rosła liczba ofiar i to zarówno po stronie sił międzynarodowych (w 2008 r. blisko 300 zabitych żołnierzy NATO, tylko w pierwszej połowie 2009 r. – ponad 200), jak i miejscowej ludności (w 2008 r. wojska koalicji, atakując talibów, zabiły w Afganistanie ponad 800 cywili; ofiary działań sił rebeliantów były ponad dwukrotnie większe).

Wszystko to stawiało pod znakiem zapytania wiarygodność i skuteczność NATO. Misja w Afganistanie ujawniła słabość Sojuszu, który – jak się okazało

⁸ B. R i e d e l, *President Obama's Afghan Gamble*, December 11, 2009, www.brookings.edu/opinions/2009/1203_afghanistan_riedel.aspx?p=1; także wywiad z Ryanem Crockerem, ambasadorem USA w Afganistanie, który przyznawał: „Według mnie [zwycięstwo] przyszło za łatwo. Nie pokonałiśmy talibów, lecz jedynie pozwoliliśmy im uciec”; „Gazeta Wyborcza” z 31.10 -1.11.2011.

⁹ Zob. J. P. R u b i n, *Building a New Atlantic Alliances*, „Foreign Affairs” July/August 2008, s. 101.

– nie miał stałych sił i środków działania militarnego. Do wykonania zadań w Afganistanie, w związku z pogarszającą się tam coraz bardziej sytuacją, trzeba było mobilizować państwa i zbierać żołnierzy naprędce i z dużym wysiłkiem. Nie chodziło bowiem tylko o „nawiasy”, ale przede wszystkim kraje członkowskie NATO z ogromnym oporem godziły się na zwiększanie swoich kontyngentów narodowych w Afganistanie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta wstrzeźliwość przywódców europejskich na apele Waszyngtonu w pewnym stopniu była reakcją na fakt, że atakując Afganistan w 2001 r. administracja G. W. Busha dość arogancko obeszła się z deklarowaną przez Europę wolą militarnego współuczestnictwa. Dlatego teraz już takiej gotowości nie było.

Ponadto przywódcy Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, także Holandii, Włoch, Kanady znajdowali się pod presją własnej opinii publicznej, zdecydowanie przeciwniej wysyłaniu ich żołnierzy do kraju pod Hindukuszem i prowadzeniu tam działań zbrojnych, z którymi się nie utożsamiano. W powszechnej świadomości istniało przeświadczenie, że konflikt afgański to „wojna Busha”, a wszystko, co wiązało się z nie lubianym prezydentem amerykańskim, wywoływało w Europie społeczny opór. Gdy więc w kwietniu 2008 r., podczas szczytu NATO w Bukareszcie, prezydent Bush zwrócił się do swych europejskich sojuszników o zwiększenie kontyngentów wojskowych w Afganistanie, spotkał się z chłodną reakcją. Dość powiedzieć, że z największym trudem udało się zwiększyć poszczególne oddziały narodowe o kilkuset żołnierzy (kontyngent niemiecki, trzeci pod względem wielkości po amerykańskim i brytyjskim, miał wzrosnąć w połowie 2008 r. do 3,5 tys. żołnierzy; francuski – do blisko 3 tys., a polski – do około 1,2 tys.). W tym samym czasie żołnierzy amerykańskich w Afganistanie było już ponad 30 tys.

Wobec charakteru walk prowadzonych w Afganistanie wszystko to było niewystarczające: trudno prowadzić wojnę z partyzantką, a do tego z przeciwnikiem, który nie nosi munduru, za to kryje się za plecami cywili, w wioskach i niedostępnych kryjówkach lub uciekając przed wojskami NATO, przechodzi na pakistańską stronę pogranicza. W odruchu desperacji prezydent Bush zdecydował się w lipcu 2008 r. wydać rozkaz zezwalający amerykańskim komandosom atakować uciekających talibów także po pakistańskiej stronie. W ten sposób walka z talibami przeniosła się również na terytorium Pakistanu, którego władze – zdaniem Waszyngtonu – niezbyt gorliwie zwalczały islamskich rebeliantów. Amerykanie podjęli działania nie tylko na lądzie (najczęściej były to rajdy komandosów), ale dokonywali też nalotów na przygraniczne tereny Pakistanu. Miało to swoje uzasadnienie, ale równocześnie prowadziło do zaognienia sytuacji w regionie. Przede wszystkim wywoływało oburzenie pakistańskiej ulicy i to mogło mieć daleko idące konsekwencje polityczne. Nie można było bowiem abstrahować od jeszcze dwóch ważnych faktów. Po pierwsze, Pakistan jest mocarstwem atomowym. Jeśli terroryści gdzieś na świecie mogliby uzyskać dostęp do materiałów jądrowych, to właśnie w Pakistanie. Po drugie, nie do przewyciężenia wydawała się cicha sympatia armii pakistańskiej dla islamskich radykałów. Dla znacznej części

pakistańskich żołnierzy większym zagrożeniem były Stany Zjednoczone, niż terroryści operujący w Afganistanie. Amerykanie dokonujący nalotów na przygraniczne wioski pakistańskie i budzący dlatego powszechną niechęć mogli więc stać się zarzewiem niepokoju politycznych w tym kluczowym państwie Centralnej Azji.

I taki stan rzeczy zastał Barack Obama w styczniu 2009 r. Uznał on, że nie tylko Afganistan, gdzie stacjonowało ponad 30 tys. amerykańskich żołnierzy, ale też sytuacja w Pakistanie staje się największym zagrożeniem dla stabilności świata i najpoważniejszym wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa¹⁰. Miał niewątpliwie świadomość, że sukces Ameryki w Afganistanie może mieć duży wpływ na ocenę jego prezydentury¹¹. Warto w tym miejscu dodać, że w odróżnieniu od interwencji amerykańskiej w Iraku, uderzenie na Afganistan i obalenie talibów B. Obama uważał za uzasadnioną i właściwą reakcję Stanów Zjednoczonych na atak terrorystyczny 11 września 2001 r. Mówił o tym już w trakcie kampanii wyborczej, co wielu komentatorów uważało za jedyną i właściwą postawę. „Jeśli potępiało się interwencję w Iraku, zapowiadało zamknięcie więzienia w Guantanamo i podjęcie negocjacji z dyktatorami, to nie chcąc być podejrzanym o zbyt beztraskie podejście do kwestii bezpieczeństwa narodowego, trzeba było popierać inną wojnę” – dowodził Michael E. O’Hanlon, amerykański ekspert¹². Bez względu na przesłanki, jakie kierowały Obamą jako demokratycznym kandydatem na najwyższy urząd w państwie, a następnie prezydentem, jest faktem, że konflikt afgański znalazł się na czołowym miejscu agendy politycznej nowej administracji.

Już w lutym 2009 r., krótko po objęciu urzędu w Białym Domu, prezydent zlecił przygotowanie specjalnej strategii amerykańskiej wobec Pakistanu i Afganistanu. Deklarując, że „zniszczenie baz talibów” w zachodnim Pakistanie będzie jego priorytetem, Obama wysłał w ten region świata specjalnego emisariusza Richarda Holbrooke’a, doświadczonego dyplomata i twardego negocjatora, którego niekwestionowanym osiągnięciem było wynegocjowanie w 1995 r. porozumienia z Dayton, kończącego wojnę w Bośni-Hercegowinie. To właśnie Holbrooke wraz z analitykiem Bruce’em Riedelem przygotowali następnie nowy plan działania sił amerykańskich i międzynarodowych w Afganistanie oraz na pograniczu z Pakistanem, którego celem było odwrócenie losów wojny pod Hindukuszem. Prezydent Obama zaprezentował go pod koniec marca 2009 r. W dużej mierze miało to być powtórzenie skutecznej strategii gen. Petraeusa z Iraku (od października 2008 r. szefa *U.S. Central Command*, obejmującego Bliski Wschód i Azję Centralną), czyli próba przeciągnięcia na swoją stronę umiarkowanych talibów oraz zwiększenie pomocy gospodarczej dla Islamabadu i Kabulu. Tak więc akcentowano w nim przede

¹⁰ Szerzej: M. E. O’Hanlon, B. Riedel, *Maximizing Chances for Success in Afghanistan and Pakistan*, February 15, 2012, www.brookings.edu/papers/2012/0215_afpak_ohanlon_riedel.aspx?p=1.

¹¹ B. Riedel, *President Obama’s ...*

¹² M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *Bending History...*, s. 86.

wszystkim pozamilitarne metody działania. W odniesieniu do Pakistanu autorzy planu podkreślali, że sytuacji w zapalnych regionach tego kraju nie da się poprawić bez inicjatyw gospodarczych. Dlatego zakładano zwiększenie pomocy gospodarczej dla Islamabadu – przez najbliższe lata miała ona wynosić 1,5 mld dol. rocznie.

W odniesieniu do Afganistanu nowa strategia przewidywała przede wszystkim, obok podjęcia negocjacji z umiarkowanymi grupami talibów, rozszerzenie programu szkolenia afgańskich żołnierzy i policjantów, zwiększenie wysiłku na rzecz odbudowy kraju, bardziej szczodre nakłady na inwestycje. Jakby w drugiej kolejności sugerowano również zwiększenie liczebności operujących w Afganistanie oddziałów wojska, i to nie tylko amerykańskich (o blisko 30 tys.), ale także kontyngentów narodowych. Trzeba przyznać, że plany te, zwłaszcza dotyczące rozszerzenia działań o charakterze cywilnym i politycznym, spotkały się z życzliwą reakcją w Europie. Odpowiadały one naturze europejskich zachowań politycznych i były zgodne z opiniami od dawna głoszonymi przez analityków i ekspertów w Europie¹³. Jednak już apel, z jakim prezydent Obama zwrócił się do europejskich partnerów podczas szczytu NATO na początku kwietnia 2009 r., o skierowanie do Afganistanu dodatkowych sił z państw sojuszniczych, potraktowano równie chłodno jak niegdyś prośby prezydenta Busha. Z największym trudem udało się spośród europejskich państw Sojuszu zebrać dodatkowy 4-tysięczny kontyngent, składający się głównie z policjantów i specjalistów w zakresie szkolenia miejscowych sił bezpieczeństwa, oddelegowanych do Afganistanu jedynie na czas przypadających tam w sierpniu 2009 r. wyborów prezydenckich.

Tymczasem właśnie w lecie 2009 r., blisko osiem lat po amerykańskiej inwazji na Afganistan, sytuacja w tym kraju uległa dalszemu pogorszeniu. Wzmoczona aktywność zbrojna talibów wiązała się właśnie z wyborami prezydenckimi. Cel działań rebeliantów był jasny: chodziło przede wszystkim o zastraszenie Afgańczyków i uniemożliwienie im pójścia do urn wyborczych. Byłoby to bowiem uderzenie w wysiłki na rzecz stabilizowania sytuacji i budowy choćby zrębów demokracji w tym kraju. Stąd nie tylko wzrost ataków raketowych na bazy wojsk międzynarodowych, wioski i miasta Afganistanu oraz podejmowanie bezpośrednich walk z patrolami i oddziałami sił międzynarodowych, ale także samobójcze zamachy bombowe, uprowadzenia zakładników i zabójstwa cywili.

Temu wszystkiemu nie były w stanie sprostać siły NATO. Eksperci i komentatorzy zgodnie przyznawali, że bez dodatkowych oddziałów Sojusz tę wojnę może przegrać. Stawiano nawet tezę, że „przyszłość Sojuszu rozstrzygnie się pod Hindukuszem”¹⁴. Szacowano, że do Afganistanu należałoby skierować jeszcze co najmniej 45 tys. żołnierzy¹⁵. Do zwycięstwa potrzebna była również

¹³ J. R i e s t e r, *Waiting for September: German-American Relations between Elections*, „AICGS” No. 30, June 2009, s. 2.

¹⁴ B. R i e d e l, *President Obama's ...*

¹⁵ Takie zdanie prezentował m.in. gen. Stanley McChrystal, naczelny dowódca wojsk amerykańskich i sił międzynarodowych w Afganistanie; zob. szerzej na temat różnych opinii i dyskusji

przynajmniej podwojona armia afgańska i liczniejsza policja. W połowie 2009 r. było to około 175 tys. żołnierzy i sił policyjnych, wyposażonych i wyszkolonych przez Zachód, których lojalność pozostawała jednak pod dużym znakiem zapytania. Zwiększony kontyngent afgański wymagał tysięcy instruktorów, znaczących funduszy i nowego uzbrojenia. Ale przede wszystkim Afganistan potrzebował sukcesów gospodarczych, podniesienia poziomu życia, edukacji, rozbudowanej infrastruktury, nowych miejsc pracy – jednym słowem rozwoju, gdyż tylko to umacniało państwo i osłabiało front poparcia dla talibów, bazujących na ludzkim niezadowoleniu i frustracji.

W tej sytuacji prezydent Obama, po ponad trzech miesiącach głośnej dyskusji wewnątrz administracji, 1 grudnia 2009 r. wystąpił z kolejnym już planem strategicznym wobec Afganistanu. Tym razem nacisk położono przede wszystkim na opcję siłową, jakby uznając, że działania polityczne i cywilne nie są w stanie odwrócić biegu spraw pod Hindukuszem. Przychylając się w końcu do opinii licznej grupy ekspertów i wojskowych, w tym głównodowodzącego operacją w Afganistanie gen. Stanleya McChrystala, administracja Obamy zdecydowała się skierować do Afganistanu następne 30 tys. żołnierzy amerykańskich – ich liczba miała więc wzrosnąć w 2010 r. do prawie 100 tys. Uzasadniając swoją decyzję, prezydent Obama niemal odwoływał się do argumentów poprzedniej administracji, dowodząc że „w Afganistanie i Pakistanie bronimy naszego bezpieczeństwa. (...) Gdybym nie był przekonany, że w Afganistanie gra toczy się o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych, z radością nakazałbym już jutro powrót naszych oddziałów do domu” – deklarował Obama, zwracając się do kadetów w Akademii Wojskowej West Point. Zapewniał, że Amerykanie nie mają zamiaru okupować Afganistanu, raczej „chcemy – mówił amerykański prezydent – przyspieszyć dzień, w którym nasze wojska opuszczą wasz kraj, a potem rozwijać trwałą przyjaźń, w której Ameryka będzie waszym sojusznikiem, nigdy waszym patronem”. Co więcej, określił lipiec 2011 r. jako początek wycofywania amerykańskich oddziałów spod Hindukuszu i pełnego przekazania władzy w ręce afgańskiego rządu¹⁶.

Tak wyraźne postawienie w tej nowej strategii afgańskiej na czynnik wojskowy – jakkolwiek mające swoje racjonalne uzasadnienie – oznaczało pewną nową jakość w polityce administracji Obamy, kontrowersyjną dla wielu obserwatorów. Otóż z pewnością było to sprzeczne z wizerunkiem prezydenta przedkładającego negocjacje i metody z gatunku *soft power* nad działania siłowe, a przynajmniej podważało taki wizerunek. Uznając jednak, że wojna w Afganistanie jest wojną konieczną, a nie wojną z wyboru – jak to było w przypadku Iraku – Obama podjął odważne, acz wymagające ogromnego wysiłku ludzkiego, finansowego i zbrojnego decyzje – łącznie już trzykrotnie zwiększające amerykański kontyngent w Afganistanie. Nie bez racji po wystąpieniu prezydenta w West Point zaczęto mówić o konflikcie w Afganistanie

wokół planu prowadzenia operacji afgańskiej: M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 87, 88.

¹⁶ Całość wystąpienia w: „Gazeta Wyborcza” z 5-6.12.2009.

jako o „wojnie Obamy”. Pojawiały się wręcz opinie, że „history will judge him on the success of his bold gamble to send more troops to Afghanistan”¹⁷.

Kontrowersyjność decyzji prezydenta Obamy potwierdzały głosy krytyki, jakie pod adresem prezydenta padały z różnych stron. Część prawicy uważała nowy plan za nie dość ambitny – aby odmienić los wojny i doprowadzić do stabilizacji sytuacji w Afganistanie oraz wyeliminowania lub takiego osłabienia rebeliantów, żeby zdecydowali się na negocjacje z władzami afgańskimi, należało – zdaniem prawicowych krytyków – skierować pod Hindukusz więcej wojska. Ale przede wszystkim za ogromny błąd uznano wyznaczenie przez Obamę daty rozpoczęcia odwrotu wojsk amerykańskich z Afganistanu. „Nie należało nawet wspominać o terminie wycofania wojsk. Wojnę wygrywa się łamiąc chęć walki wroga, a nie mówiąc o odwrocie” – krótko i dosadnie komentował sprawę John McCain, republikański rywal Obamy w wyborach 2008 r. Podobnego zdanie była część amerykańskich analityków. W ich opinii podawanie daty wycofania osłabiało argumenty Amerykanów w negocjacjach z talibami – kto myślący logicznie zdecyduje się na porozumienie z reżimem Karzaja na jego i amerykańskich warunkach w sytuacji, gdy w bliskiej już perspektywie przeciwnik zamierza się wycofać¹⁸.

Zarzuty z lewej strony amerykańskiej sceny politycznej odnosiły się przede wszystkim do decyzji o wysyłaniu kolejnych Amerykanów na niebezpieczną i nie gwarantującą powodzenia misję. Robert Scheer z lewicowego „Nation” (14.02.2009) pisał: „Z powodu oportunistycznego Naczelnego Dowódcy [prezydenta Obamy] wojna afgańska nie ma ani końca, ani logicznego celu”. Dla tej strony sporu nie miało zatem znaczenia to, że kraj pozostawiony teraz bez dodatkowego wsparcia militarnego i pomocy amerykańskiej/ międzynarodowej z pewnością jeszcze bardziej pogrążyłby się w chaosie. W przekonaniu części lewicy amerykańskiej wojna nigdy niczego nie rozwiązuje. „Pojęcie wojny w walce przeciw terrorystom nie ma sensu, bo nie da się pokonać siłą ani idei, ani techniki [terrorystów]” – przekonywał lewicowy komentator Eugene Robinson na łamach „Washington Post”. Jego zdaniem: „Eskalacja wojny może i odnieść skutek, jednak koszt tego będzie zbyt wysoki i wcale nie musi uchronić nas przed atakiem terrorystycznym”¹⁹. Z kolei wśród polityków Partii Demokratycznej, podzielonej co do oceny zamierzeń Białego Domu, narastała obawa, że konflikt afgański może zaciążyć negatywnie na prezydenturze Obamy, podobnie jak swego czasu wojna wietnamska wpłynęła na ocenę administracji Lyndona B. Johnsona.

Narządzając się tak bardzo nie tylko amerykańskim przeciwnikom wojny, ale również niektórym politykom Partii Demokratycznej, prezydent tym bardziej liczył na poparcie sojuszników europejskich. Stany Zjednoczone oczekiwały,

¹⁷ B. R i e d e l, *President Obama's ...*; w takim kontekście należy też odczytywać tytuł pracy B. W o o d w a r d a, *Obama's War*, New York 2010.

¹⁸ M. K a l b, *Obama's Retreat from his „War of Necessity”*, March 30, 2012, www.brookings.edu/opinions/2012/0319_obama_afghanistan_kalb.aspx?p=1.

¹⁹ E. R o b i n s o n, *Obama takes the wrong path in Afghanistan*, „The Washington Post” z 4.12.2009.

że także europejscy członkowie NATO zwiększą liczebność swoich oddziałów, operujących w ramach misji *ISAF*. Prezydent, przedstawiając w West Point nową strategię, podkreślał, że potrzebny jest większy udział wojsk państw sojuszniczych, ponieważ „stawką jest nie tylko wiarygodność NATO – gra toczy się o bezpieczeństwo nasze, sojuszników i całego świata”²⁰. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, jak tylko utrzymane w dyplomatycznym tonie oczekiwanie, że sojusznicy europejscy podejmą takie samo ryzyko jak Stany Zjednoczone i nie tylko skierują do Afganistanu więcej żołnierzy, ale także wyposażą ich w uprawnienia do podejmowania działań zbrojnych. Strona amerykańska nie kryła, że liczy na przynajmniej 10 tys. dodatkowych żołnierzy z państw NATO (byłby to wzrost z 42 tys. do 52 tys. żołnierzy sił międzynarodowych)²¹. Miał to być ważny test na solidarność atlantycką.

Tymczasem reakcja Europy była bardziej niż powściągliwa. Wprawdzie Anders Fogh Rasmussen, sekretarz generalny NATO, zapowiadał podjęcie przez członków Sojuszu wyzwania i skierowanie do Afganistanu dodatkowych sił w liczbie około 5 tys. żołnierzy, jednak nie znalazło to potwierdzenia w faktach. Wielka Brytania, tradycyjnie najbardziej lojalny sojusznik Waszyngtonu, zaoferowała ledwie 500 żołnierzy (miała jednak już w Afganistanie blisko 10 tys. żołnierzy), tyle samo zapowiadała Turcja. W Niemczech kwestia wysłania dodatkowych sił *Bundeswehry* wywołała ostry spór, w którym linia podziału przebiegała nie tylko między opozycją a stroną rządową, ale również dzieliła koalicję *CDU/CSU-FDP*. Dlatego dopiero pod koniec stycznia 2010 r. Berlin podjął decyzję o wysłaniu dodatkowo pół tysiąca żołnierzy *Bundeswehry* do Afganistanu, zaś 350 żołnierzy miało stanowić specjalne siły rezerwowe, gotowe na ewentualny wyjazd w rejon konfliktu (do końca 2010 r. kontyngent niemiecki miał liczyć 5 tys. żołnierzy)²². Natomiast Francja, choć prezydent Nicolas Sarkozy chwalił plan Obamy jako „odważny, zdecydowany i przejrzysty”, niczego jednak nie obiecała. Z kolei władze Kanady już wcześniej zapowiedziały, że rozpoczynają przygotowania do wycofania swojego kontyngentu, liczącego prawie 3 tys. żołnierzy. Do końca 2010 r. z Afganistanu miało wyjechać 1,6 tys. Holendrów. W takim kontekście decyzję władz polskich, podjętą wbrew nastrojom społecznym (zaledwie 15-20% badanych popierało obecność polskiego kontyngentu pod Hindukuszem), o skierowaniu do Afganistanu dalszych 600 żołnierzy, czy Słowacji, która zapowiedziała wysłanie 250 żołnierzy, należało – z amerykańskiej perspektywy – ocenić jako niezwykle znaczącą, wzięwszy pod uwagę realne możliwości i potencjały tych dwóch krajów²³.

A zatem próbując odnieść te fakty na grunt stosunków transatlantyckich, nasuwała się jedna konkluzja – przykra i równocześnie bardzo wymowna

²⁰ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” z 5-6.12.2009.

²¹ D. W. W i c k h a m, *Afghanistan not just our fight, but NATO's too*, „USA Today” z 9.12.2009.

²² *German positive about NATO leaders, dislike Afghanistan mission*, Deutsche Welle, 3.04.2009, www.dw-world.de.

²³ Dane cyt. w: „Gazeta Wyborcza” z 10-11.11.2009 oraz 3.12.2009.

dla administracji Obamy. Okazało się, że niechętna postawa Europy wobec konfliktu afgańskiego i związanych z tym zobowiązań sojuszniczych nie była tylko efektem stosunku do poprzedniego gospodarza Białego Domu. Zarówno reakcja na sugestie wyrażone przez administrację Obamy w kwietniu 2009 r., jak i odpowiedź na plan grudniowy potwierdzały, że większość polityków w Europie, podobnie jak europejska opinia publiczna nie uważały wojny w Afganistanie za walkę z terroryzmem o charakterze egzystencjalnym. Zaangażowanie państw europejskich w ten konflikt było raczej wymuszone sojuszem z USA, ewentualnie zobowiązaniami w ramach NATO, a nie spowodowane poczuciem realnego zagrożenia dla swoich żywotnych interesów. Dlatego tak niechętnie reagowano na apele Waszyngtonu, mimo że pochodziły one od – jak się zdawało – powszechnie na kontynencie europejskim lubianego prezydenta Obamy. Choć istniało przekonanie, podzielane przez europejskich polityków, wojskowych i ekspertów, że Afganistan to wielka próba dla skuteczności NATO i test sprawdzający – z perspektywy Waszyngtonu – znaczenie układu transatlantyckiego, to jednak Europa demonstrowała wyjątkową powściągliwość w reagowaniu na apele amerykańskiego prezydenta, jakby nie przywiązując wagi do tego, jakie to może mieć konsekwencje dla jej pozycji i roli w polityce Stanów Zjednoczonych.

Natomiast Obama, deklarując wolę traktowania Europy jako partnera, z którym zamierza się konsultować i wspólnie z nim dyskutować o wielu sprawach, oczekiwał od państw europejskich, że zarówno w Afganistanie, jak i na innych polach zwiększą swe zaangażowanie i podejmą wyzwania. Jednak w stolicach europejskich tej woli pozytywnego ustosunkowania się do amerykańskiej oferty partnerstwa i gotowości do wzięcia na siebie znacznie większego niż dotąd ciężaru odpowiedzialności na miarę oczekiwań Waszyngtonu raczej nie było. Pojawiały się za to krytyczne uwagi, że prezydent Obama nie chce niczego więcej od Europy, jak tylko nowych oddziałów wojsk w Afganistanie²⁴. Rzeczywiście, można było odnieść wrażenie, że amerykański prezydent zaczyna oceniać swych europejskich partnerów właśnie przez pryzmat ich gotowości do współdziałania, a zwłaszcza większego zaangażowania się w Afganistanie. Zdawał się zniecierpliwiony paraliżem choćby Unii Europejskiej, która pomimo deklaracji o istnieniu *ESDP* (*European Security and Defence Policy*) nie była w stanie jasno, odważnie i skutecznie zaprezentować się jako ważny gracz na arenie międzynarodowej.

Problem Afganistanu polegał jednak nie tylko na tym, że – w ocenie Stanów Zjednoczonych – sojusznicy europejscy wykazywali zbyt daleko idącą asertywność wobec oczekiwań administracji Obamy. Konflikt afgański okazał się również przykładem niekonsekwencji i niezdecydowania amerykańskiego prezydenta, także jego błędnych założeń. Sprowadzając rzecz do kilku istotnych faktów, warto wspomnieć o zmianie zasadniczej decyzji odnoszącej

²⁴ Zob. wypowiedzi podczas spotkania w Waszyngtonie w ramach *Bergedorfer Gesprächskreis* (9-11.03. 2010) opublikowane w: *Grenzen der Macht: Europa und Amerika in einer neuen Weltordnung*, Hamburg 2010, s. 28-30.

się do wycofania amerykańskich wojsk z Afganistanu. Otóż bardzo szybko okazało się, że lipiec 2011 r., jako data wyznaczająca początek opuszczania Afganistanu przez wojska amerykańskie oraz żołnierzy sił międzynarodowych, jest nierealny. Nie stało się tak, jak zakładała administracja amerykańska, że określając termin odwrotu, wywrze presję na prezydenta Karzaja, aby ten podjął skuteczną walkę z korupcją i stworzył przynajmniej jako tako funkcjonujące państwo. W połowie 2010 r. było już wiadomo, że nic w tej sprawie nie osiągnięto i bilans strategii ogłoszonej w grudniu 2009 r. okazał się marny. Korupcja i bezprawie w administracji Karzaja kwitły w najlepsze, a to działało na korzyść talibów. Siłom międzynarodowym – mimo podejmowanych działań cywilnych i politycznych – nie udało się pozyskać „serc i umysłów” miejscowej ludności, co dla sukcesu operacji było niezbędne. Zamiast postępów w procesie dogadywania się z grupami umiarkowanych talibów nastąpiło jeszcze większe uaktywnienie się sił radykalnych. *Summa summarum* mało realne wydawało się, że jeden rok wystarczy, aby zakładane cele w Afganistanie osiągnąć.

Tak więc podjęcie operacji wycofywania sił międzynarodowych już w lipcu 2011 r. oznaczałoby pozostawienie kraju w sytuacji, która nie tylko nie gwarantowała utrzymania reżimu Karzaja, lecz wręcz groziła ponownym przejściem władzy przez talibów i inne siły radykalne. Byłoby to zatem całkowite zniweczenie wysiłku, okupionego już kilkoma tysiącami ofiar zabitych i rannych oraz ogromnymi kosztami finansowymi (w 2010 r. wojna w Afganistanie kosztowała Amerykanów około 65 mld USD, co przewyższyło koszty operacji w Iraku). Z drugiej strony, dalsze pogarszanie się sytuacji w Afganistanie groziło, że Ameryka ugrzęźnie tam tak jak kiedyś w Wietnamie i polityczny, militarny oraz materialny bilans jej zaangażowania pod Hindukuszem będzie równie tragiczny jak w Indochinach. Takie obawy wzmocniły zawirowania związane z dowodzeniem operacją w Afganistanie. Odwołanie w czerwcu 2010 r. gen. McChrystala, spowodowane jego niedyplomatycznymi wypowiedziami na temat niektórych członków administracji Obamy i samego prezydenta, z pewnością nie ułatwiało sprawy. Wprawdzie mianowany na nowego dowódcę w Afganistanie gen. Petraeus, architekt sukcesów w Iraku, miał renomę doskonałego stratega, jednak w tak skomplikowanej sytuacji zadanie, jakie przed nim stanęło, wyglądało na herkulesowe.

Wszystkie te problemy w Afganistanie ożywiły antywojenną opozycję w Stanach Zjednoczonych, naciskającą na wycofanie wojsk. Administracja Obamy znalazła się zatem w niezwykle trudnym położeniu. Stanęła przed wielkim dylematem, z którego nie było dobrego wyjścia. W tej sytuacji podjęta w grudniu 2010 r. decyzję całego gremium NATO z udziałem prezydenta Obamy o wyznaczeniu 2014 r. jako daty zakończenia operacji Sojuszu w Afganistanie uznać należało za posunięcie odważne. A w opinii wielu komentatorów i ekspertów za jedyne możliwe i racjonalne. Dawało więcej czasu i tym samym otwierało nową perspektywę dla powodzenia planu politycznego – zacieśnienia więzi z lokalnymi społecznościami w Afganistanie, ochrony ich przed talibami i równocześnie przeciągania na stronę rządową mniej radykalnych

grup rebeliantów. Wszystko po to, aby zrealizować zasadniczy cel operacji afgańskiej, jakim dla administracji Obamy było: oddanie odpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju afgańskiemu wojsku i policji oraz umocnienie rządu centralnego. Ten zaś, kontrolując cały Afganistan, byłby w stanie zapobiec akcjom rebeliantów, zwłaszcza oddziałów Al-Kaidy.

Jakkolwiek zabicie Osamy bin Ladena w nocy z 1 na 2 maja 2011 r. nie wiązało się bezpośrednio z realizowaną w Afganistanie strategią, to jednak trudno nie odnieść tej akcji amerykańskich komandosów do wydarzeń rozgrywających się pod Hindukuszem. Niewątpliwie unicestwienie przywódcy Al-Kaidy, dające Amerykanom należną im satysfakcję, a nawet poczucie triumfu, w jakimś sensie mogło też mieć znaczenie strategiczne. Stałoby się tak wtedy, gdyby śmierć tego symbolu terroryzmu i równocześnie bohatera masowej wyobraźni w świecie muzułmańskim spowodowała zniknięcie lub choćby osłabienie aktywności islamskich fundamentalistów, w tym dżihadystów w Afganistanie. Wśród pierwszych komentarzy i takie opinie się pojawiały²⁵. Jednak Osama bin Laden, ukrywający się w nędznej siedzibie pod Abbottabad, na terytorium Pakistanu, nie odgrywał już *de facto* takiej roli w świecie zbrojnego ekstremizmu jak kiedyś. Jego śmierć okazała się mieć bardziej symboliczne niż przełomowe znaczenie. W przypadku Afganistanu nie doprowadziła do osłabienia aktywności rebeliantów, raczej zmniejszyła determinację Amerykanów, by trwać w Afganistanie. Gdy unicestwiono głównego wroga Ameryki i tym samym „zdjęto z Amerykanów dławiący ciężar strachu”, to – zdaniem części polityków Partii Demokratycznej – zniknęła główna przyczyna amerykańskiej obecności w Afganistanie. Uważano, że teraz można wycofać się z honorem i w poczuciu zwycięstwa. Nie ma potrzeby czekać, aż kraj ten będzie w stanie samodzielnie funkcjonować i skutecznie walczyć z zagrożeniami²⁶.

Trudno wykluczyć, że takie głosy nie miały wpływu na decyzję prezydenta Obamy, który kilka tygodni po zabiciu przywódcy Al-Kaidy, 22 czerwca 2011 r., ogłosił początek końca wojny w Afganistanie. Zapowiedział wycofanie jeszcze w tym samym roku pierwszych 10 tys. amerykańskich żołnierzy ze 100 tys. stacjonujących pod Hindukuszem. Następne 23 tys. Amerykanów miało wrócić do domu przed wrześniem 2012 r. „Nie zmienimy Afganistanu w idealne miejsce – mówił prezydent. Nie będziemy w nieskończoność patrolować jego gór i ulic miast. To zadanie afgańskiego rządu. Nasz cel jest prosty: nie dopuścić, żeby ten kraj stał się schronieniem dla terrorystów”. A zatem zadanie zostało wyraźnie zminimalizowane lub – jak twierdziła część komentatorów – powrócono do pierwotnej strategii Obamy. Otóż, należało jedynie doprowadzić do sytuacji, w której niepowodzenie operacji w Afganistanie nie będzie nazbyt widoczne, raczej powstanie wrażenie, że sprawy idą w dobrym kierunku, a Afgańczycy nie tylko przejmują pełną odpowiedzialność za ich bieg, ale są do tej odpowiedzialności przygotowani. Przynajmniej zagwarantują,

²⁵ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 98.

²⁶ J. Traub, *Freedom from Fear*, www.foreignpolicy.com/articles/2011/05/05/freedom-from-fear.

że terytorium ich kraju nie stanie się ponownie bazą wypadową do ataków terrorystycznych na zewnątrz. A czy będzie to państwo według zachodnich wyobrażeń, powinno pozostać suwerenną decyzją Afgańczyków, a już na pewno nie celem amerykańskiego zaangażowania w tym regionie²⁷.

Niewątpliwie o tym nagłym, kolejnym zwrocie w podejściu do Afganistanu i przyspieszeniu tempa wycofywania wojsk amerykańskich spod Hindukszu przesądziło zabicie Osamy bin Ladena. Uzasadnienia dla tego aktu eksperci popierający działania prezydenta szukali w poprawiającej się sytuacji w Afganistanie²⁸. Ale decyzja ta motywowana była również innymi względami, głównie wewnętrznymi. Najważniejszym były przypadające w 2012 r. wybory prezydenckie. W sytuacji, gdy prawie 60% Amerykanów opowiadało się za jak najszybszym i całkowitym wycofaniem się z Afganistanu, myślący o kolejnej kadencji w Białym Domu prezydent musiał ten fakt brać pod uwagę. Nie tyle ofiary w ludziach, relatywnie niewielkie – około 1,5 tys. zabitych przez 10 lat – zniechęcały opinię publiczną. Bardziej chodziło o koszty finansowe, dotkliwe ze względu na kryzys gospodarczy. Obliczano, że operacje militarne w Afganistanie pochłaniały tygodniowo prawie 2 mld USD (obie wojny – w Afganistanie i Iraku kosztowały Amerykanów już ponad 1,3 bln USD). Wobec takich obciążeń budżetu amerykańskiego nie dziwi fakt, że po zabiciu przywódcy Al-Kaidy i pomszczeniu ofiar ataku 11 września 2001 r. wielu Amerykanów uznało wojnę w Afganistanie za wewnętrzną sprawę tego kraju. „Nie czas na odbudowę Afganistanu. Czas na odbudowę Ameryki” – mówił demokratyczny senator Joe Machin, wyrażając opinie większości Amerykanów, doświadczających skutków kryzysu. Sceptycyzm co do nowego planu Obamy wyraziła opozycja. Większość Republikanów nie zmieniła zdania – przedwczesne wycofanie żołnierzy to zmarnowanie ciężko wypracowanych sukcesów w walce z talibami.

Decyzja amerykańskiego prezydenta spotkała się natomiast z bardzo przychylnym przyjęciem w Europie. Wprawdzie kilka miesięcy wcześniej europejscy sojusznicy zgodzili się na datę 2014 r. jako kres obecności w Afganistanie sił *ISAF*, liczących wówczas 40 tys. żołnierzy, to jednak perspektywa przyspieszenia tego procesu – ze zrozumiałych na gruncie europejskim względów – była dobrze oceniana. Pozwalała bowiem Europie bez obaw o zachwianie układu transatlantyckiego i podważenie koherentności NATO przyspieszyć własny odwrót. W reakcji prezydent Francji zapowiedział redukcję czterotysięcznego kontyngentu w tempie podobnym do Amerykanów. Także Niemcy zdecydowali o rozpoczęciu odwrotu swych, liczących 5 tys. żołnierzy, oddziałów przed końcem 2011 r. Podobne decyzje zapadały w Polsce – oprócz stopniowej redukcji kontyngentu zapowiadano także ograniczenie zadań – zakończenie

²⁷ V. Felb a b-B r o w n, *Obama's Plan and the Future of Afghanistan*, July 1, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0623_afghanistan-felbabbrown.aspx?p=1; t e j ż e, *Afghanistan Ten Years after 9/11: Counterterrorism Accomplishments while a Civil War Is Lurking?* September 6, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/09/06-afghanistan-felbabbrown.

²⁸ Zob. M. E. O'H a n l o n, *Gauging the Effect of Obama's Troop Cuts*, July 1, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0623_afghanistan_ohanlon.aspx?p=1.

operacji bojowej w 2012 r. i przechodzenie do misji szkoleniowej, trwającej do 2014 r. A zatem wydzźwięk działań Obamy był jednoznaczny – Zachód nieodwołalnie redukuje swą misję w Afganistanie, nie mając żadnej gwarancji jej skuteczności i możliwości osiągnięcia celu, nawet w jego ograniczonym wymiarze.

Trudno zatem nie zgodzić się z opinią, że bilans operacji w Afganistanie wyglądał i dla Amerykanów, i dla ich sojuszników z NATO mało imponująco. Dysponując gigantyczną przewagą – z jednej strony najpotężniejszy Sojuz w dziejach i bezprecedensowe supermocarstwo, z drugiej zaś oddziały liczące najwyżej kilkadziesiąt tysięcy stosunkowo prymitywnych bojowników – Zachód nie był w stanie przez blisko 10 lat wyeliminować zagrożenia i ustabilizować sytuacji w regionie (według raportów ONZ, nie potwierdzonych przez źródła NATO, 2011 r. był znacznie bardziej krwawy w Afganistanie niż 2010 r.).

Zabicie przez rebeliantów we wrześniu 2011 r. Burhanuddina Rabbaniego, byłego prezydenta Afganistanu, reprezentującego rząd Karzaja w rozmowach z talibami, pogrzebało lub przynajmniej osłabiło nadzieję na bliskie porozumienie się z przeciwnikiem.

Brak widoków na ustabilizowanie sytuacji zanim międzynarodowe siły zbrojne wycofają się spod Hindukuszu, zmusił administrację Obamy do podjęcia negocjacji z rządem Karzaja, aby ten zgodził się na zachowanie przez Stany Zjednoczone baz wojskowych na terytorium Afganistanu i pozostawienie w nich 20-30 tys. żołnierzy także po 2014 r. Podpisanie – po trwających wiele miesięcy rozmowach – w maju 2012 r. takiej właśnie umowy strategicznej administracja Obamy uważała za swój wielki sukces, nie dostrzegając w tym potwierdzenia fiaska własnej strategii. Wszak pomimo włożonego wysiłku, skierowania dodatkowo pod Hindukusz łącznie ponad 60 tys. amerykańskich żołnierzy i niewielkiego zwiększenia kontyngentów państw sojusznicznych, prezydentowi Obamie nie udało się odnieść sukcesu choćby na miarę Iraku, gdzie sytuacja wydawała się bardziej stabilna. Nie zdołano skutecznie przełamać oporu rebeliantów i rozstrzygnąć losów wojny. Za sukces w Afganistanie uważano to, że na mocy umowy strategicznej pozostanie w nim po 2014 r. około 25 tys. amerykańskich żołnierzy, czyli mniej więcej tyle samo, ile było w momencie, gdy Obama obejmował urząd w Białym Domu. Z zadowoleniem odnotowywano również fakt, że afgańskie siły bezpieczeństwa, wyposażone i wyszkolone przez Zachód, liczyły na początku 2012 r. już 300 tys. osób i blisko było realizacji wyznaczonego celu – przygotowania 350 tys. afgańskich żołnierzy i policjantów zdolnych, jak zakładano, kontrolować sytuację w kraju²⁹. Zresztą znaczna część Afganistanu została już przejęta przez rząd w Kabulu i siły afgańskie, co wcale nie oznaczało, że pokonano tam talibów, najwyżej czasowo osłabła ich aktywność.

Tymczasem, na domiar złego, we wrześniu 2012 r. dowództwo sił NATO w Afganistanie zawiesiło współpracę wojskową między żołnierzami sił międzynarodowych a wojskiem i policją afgańską. Był to efekt dramatycznego

²⁹ M. E. O'Hanlon, B. Riedel, *Maximizing Chances* ...

zaostrzenia się sytuacji pod Hindukuszem – żołnierze *ISAF* byli atakowani przez żołnierzy armii afgańskiej lub talibów przebranych w mundury afgańskich sił bezpieczeństwa (w 2012 r. co szósty przypadek ataku na żołnierzy NATO był przeprowadzony albo przez żołnierzy armii afgańskiej, albo talibów w mundurach afgańskich). Oznaczało to – przynajmniej na czas jakiś – fiasko taktyki „braterstwa broni”, czyli programu wspólnego wykonywania zadań przez żołnierzy sił międzynarodowych i armii afgańskiej oraz miejscowych policjantów (patrole i operacje bojowe), wprowadzonego jeszcze w 2009 r. przez gen. McChrystala. Miał on służyć budowaniu zaufania, zdobywaniu przez siły afgańskie większego doświadczenia i umiejętności. Zrazu wydawało się, że taki rodzaj współpracy spełnia swoje zadanie – tak oceniali to eksperci³⁰. Tymczasem ten „partnering”, z wolna przechodzący już w „mentoring” (większość zadań wykonują miejscowe siły bezpieczeństwa pod okiem żołnierzy kontyngentów zachodnich), stał się doskonałą okazją do atakowania sił międzynarodowych, co nie tylko utrudniło realizację założonych celów, ale przede wszystkim podważało jego sens.

Cóż więc osiągnęli Amerykanie i ich sojusznicy w Afganistanie? Przede wszystkim niepewność co do rozwoju sytuacji w tym regionie świata, wciąż silną obawę, że po wycofaniu się zachodnich wojsk kraj ten, jeśli nie ogarnie go długotrwała wojna domowa, stanie się ponownie łupem talibów lub innych grup rebeliantów³¹. Także szefostwo Paktu Północnoatlantyckiego nie mogło bilansować dodatkowo misji afgańskiej. Nie chodziło tylko o niepowodzenia w Afganistanie natury wojskowej. Problemem rzeczywistym była kondycja NATO. Jakkolwiek pełniący służbę pod Hindukuszem żołnierze sił *ISAF* zdobywali doświadczenie bojowe, trudne do osiągnięcia w warunkach pokojowych, to jednak Afganistan raczej ujawnił rodzaj „desolidaryzacji” Sojuszu, wynikającej z faktu, że uczestniczące w misji państwa nie miały poczucia wspólnoty celu i konieczności pełnego poświęcenia dla jego realizacji. Osłabiało to już i tak nadwężoną koherentność i skuteczność NATO, tym samym działało deprymująco na wspólnotę transatlantycką. Zaś z perspektywy Waszyngtonu dowodziło, że sojusznicy europejscy nie są w stanie odgrywać takiej roli przy boku Ameryki, jakiej ta by oczekiwała lub do jakiej predestynują Europę jej potencjalne możliwości.

Jakie były zatem oczekiwania i sugestie pod adresem amerykańskiej polityki w tym regionie świata i jakie tym samym rysowały się perspektywy dla Afganistanu oraz Pakistanu? Niewątpliwie wybór opcji jest bardzo ograniczony. Dlatego większość ekspertów nie ma wątpliwości – taktyka Stanów Zjednoczonych wobec Afganistanu nie powinna ulec zasadniczej zmianie. W sensie politycznym i wojskowym oznacza to – z jednej strony – kontynuowanie, mimo wielu niepowodzeń, prób dogadania się z talibami, co nie wyklucza działań

³⁰ Zob. M. E. O'Hanlon, *In Time of Tragedy, Don't Forget Strengths of U.S.-Afghan Partnership*, March 13, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/03/13-afghanistan-ohanlon.

³¹ Zob. V. Felbab-Brown, *Afghanistan Ten Years after 9/11...*; inaczej B. Riedel w rozmowie z *Deutsche Welle: I Don't Think We Have Been Defeated*, May 29, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/05/29-afghanistan-defeat-riedel.

zbrojnych przeciwko rebeliantom, z drugiej zaś – dalszą pomoc i wsparcie dla afgańskich sił bezpieczeństwa jako przyszłego gwaranta utrzymania quasi-stabilizacji w kraju, jedynej możliwej – jak się wydaje – do zbudowania. Nie ma też lepszej alternatywy, jak tylko utrzymanie zaplanowanego terminarza wycofywania sił międzynarodowych z Afganistanu. Przyspieszanie tego procesu – zdaniem analityków – nie jest ani pożądane, ani sensowne, gdyż oznaczałoby niepowodzenie w osiągnięciu nawet tych bardzo ograniczonych celów³².

Z kolei jego opóźnianie, biorąc pod uwagę brak woli przedłużania misji w Afganistanie i to zarówno po stronie Stanów Zjednoczonych, jak i ich sojuszników, raczej nie wchodzi w grę. Zresztą mogłoby to – po pierwsze – skutkować tylko umocnieniem wrażenia o słabnącej potędze Ameryki i skuteczności jej działania – USA grzęzną w beznadziejnej misji, stając się częścią problemu afgańskiego. Po drugie – stanowić przyczynę natężenia napięć w relacjach transatlantyckich i pogłębienia wzajemnego rozczarowania. Wszak sojusznicy europejscy wielokrotnie dawali do zrozumienia, że operacja w Afganistanie – jakkolwiek prowadzona od ponad 10 lat – nie stanowi pożądanej przez nich formy aktywności w zakresie bezpieczeństwa i z powściągliwością reagowali na amerykańskie apele o zwiększony wysiłek wojskowy. Wobec takiego doświadczenia trudno zakładać, że kontynuowana bez końca operacja NATO w Afganistanie przyczyni się do umocnienia Sojuszu. Raczej grozić mu będzie dalsze nadwężenie jego siły i wiarygodności.

W sensie *stricto* politycznym eksperci sugerowali, aby przynajmniej nie ustawać w wysiłkach na rzecz umocnienia i ustabilizowania afgańskich instytucji demokratycznych. Oznacza to nie tylko naciski na przywódców Afganistanu, aby eliminowali korupcję i nadużycia władzy. Przede wszystkim należy zadbać o pokojowy transfer władzy w 2014 r., gdy dobiegnie końca ostatnia kadencja prezydenta Karzaja³³. Jakkolwiek nikt nie ma pewności, w czyje ręce ta władza przejdzie, to jednak akt ten musi się dokonać zgodnie z demokratycznymi regułami. I to jest bardzo ważne zadanie dla wspólnoty transatlantyckiej – zadbać politycznymi i ekonomicznymi środkami, aby następny rząd w Afganistanie nie oznaczał powrotu talibów do władzy i ekspansji na zewnątrz terroryzmu. Sukces na tym polu może mieć duże znaczenie dla relacji USA-Europa. Wprawdzie nie będzie on stanowił o sensie istnienia układu transatlantyckiego, jednak pokazując swą skuteczność, może przyczynić się do umocnienia wspólnoty euroatlantyckiej.

³² M. E. O'Hanlon, B. Riedel, *Maximizing Chances...*

³³ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 111; także V. Felbach-Brown, *Afghanistan Ten Years after 9/11...*

2. Konflikt bliskowschodni – brak sukcesów

Do najważniejszych problemów, które „w spadku” po poprzednikach przejął Barack Obama, należał konflikt izraelsko-palestyński. Rodzaj „węzła gordyjskiego”, który zawiązał się wskutek zróżnicowanych racji zamieszkujących region bliskowschodni narodów, interesów mocarstw bliższego i dalszego sąsiedztwa oraz oddziaływania skomplikowanych czynników religijnych, politycznych i gospodarczych. Tradycyjnie Stany Zjednoczone odgrywały kluczową rolę w procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie. Jakkolwiek decydujące znaczenie miała wola i gotowość do kompromisu bezpośrednio uwikłanych w konflikt stron – żydowskiej i palestyńskiej, to jednak trudno nie dostrzec, jak wiele zależało od stopnia i charakteru zaangażowania Waszyngtonu. Efektem tej aktywności były znaczące sukcesy w bliskowschodnim procesie pokojowym w okresie urzędowania Williama J. Clintona – choćby porozumienie z Oslo, utworzenie Autonomii Palestyńskiej i powrót Jasera Arafata do Palestyny w 1994 r., a także układ między Izraelem a Jordanią – żeby wymienić tylko niektóre z nich.

Pod koniec urzędowania B. Clintona sytuacja w regionie wyraźnie się zaogniła – najpierw w lipcu 2000 r. fiaskiem zakończyły się rozmowy izraelsko-palestyńskie w Camp David, a następnie we wrześniu 2000 r. doszło do wybuchu drugiej intifady. I taki stan rzeczy zastał w 2001 r. George W. Bush. Początkowo jego administracja sceptycznie podchodziła do możliwości szybkiego rozwiązania konfliktu i dlatego wyraźnie osłabła aktywność USA w tym regionie³⁴. Później polityka Busha wobec procesu pokojowego stała się wypadkową działań prowadzonych w ramach wojny z terroryzmem. Licząc na poparcie świata arabskiego dla budowanej koalicji antyterrorystycznej, a następnie także antyirackiej, próbowano nawet wywierać pewną presję na Izrael – np. doprowadzono do wypuszczenia J. Arafata z aresztu domowego w marcu 2002 r., naciskano w sprawie powstrzymania rozbudowy osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu Jordanu, czyli obszarze, który w przyszłości miał wejść w skład państwa palestyńskiego³⁵.

Chociaż administracji Busha nie udało się – z różnych powodów, w tym słabnącego autorytetu urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych – doprowadzić do dalszych, znaczących postępów na drodze rozwiązania konfliktu, to jednak amerykańscy politycy i dyplomaci generalnie nie ustawali w próbach przełamania impasu w procesie pokojowym. Była więc słynna „mapa drogowa” z maja 2003 r., której zwieńczeniem miało być państwo palestyńskie, czy

³⁴ N. H. A r u i, *Dishonest Broker. The USA Role in Israel and Palestine*, Cambridge 2003, s. 197-199; R. F r e e d m a n, *The Bush Administration and the Arab Israeli Conflict: The Record of its First Four Years*, „The Middle East Review of International Affairs” Vol. 9, No. 1, March 2005, <http://meria.idc.ac.il/journal/2005/issue1/jv9no1a4.html>.

³⁵ M. R ą c z k i e w i c z, *Polityka Stanów Zjednoczonych w okresie prezydentury G. W. Busha w ujęciu regionalnym*, Toruń, s. 64, 65.

konferencja pokojowa w Annapolis pod koniec listopada 2007 r. z osobistym udziałem – obok premiera Izraela i przewodniczącego Autonomii Palestyńskiej – także prezydenta Busha³⁶. Zwłaszcza ostatni rok urzędowania Busha wypełniony był bliskowschodnimi projektami pokojowymi, tworzonymi w Waszyngtonie. Podejmowano też kolejne próby mediacji w nasilającym się konflikcie izraelsko-palestyńskim, a przedstawiciele administracji Busha z nadzwyczajną częstotliwością przyjeżdżali do skonfliktowanych stron, aby przełamywać impas. Sam Bush, jako pierwszy amerykański prezydent, odwiedził w styczniu 2008 r. Ramallah, nieoficjalną stolicę Autonomii Palestyńskiej. Wszystko jednak bez większego powodzenia. Na finiszu urzędowania Busha doszło do tragicznej w skutki izraelskiej operacji „Płynny Ołów” w Gazie, która pochłonęła ponad 1100 ofiar po stronie palestyńskiej³⁷.

Nie dziwi więc krytyka, z jaką wobec bliskowschodniej polityki Busha wystąpił Barack Obama, zarzucając poprzednikowi nieskuteczność oraz złe rozłożenie akcentów – sprzyjanie przede wszystkim Izraelowi i utratę zaufania strony palestyńskiej/arabskiej, co ani nie pomogło Izraelowi osiągnąć pokoju, ani Stanom Zjednoczonym zyskać sympatii świata islamu. Sam natomiast zapowiedział, że rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego będzie stanowiło jeden z głównych priorytetów jego polityki zagranicznej i dokonane zostanie „inną drogą”. Niemal nazajutrz po objęciu prezydentury Obama powołał swego specjalnego wysłannika na Bliski Wschód, którym został doświadczony dyplomata George Mitchell, były senator, negocjujący swego czasu z sukcesem porozumienie pokojowe w Irlandii Północnej. Ten szybki akt nowego prezydenta znalazł uznanie w stolicach państw europejskich, gdzie z rosnącym niepokojem obserwowano fiasko wysiłków Busha, potwierdzające spadek prestiżu Ameryki i skuteczności jej działań w rozwiązywaniu konfliktów. Warto w tym kontekście podkreślić, że to państwa europejskie (Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Czechy), a nie Stany Zjednoczone odegrały rolę mediatora i doprowadziły do podpisania porozumienia, kończącego w styczniu 2009 r. wojnę w Gazie. To niemal natychmiastowe włączenie się dyplomacji amerykańskiej do działań na Bliskim Wschodzie odbierano w Europie z pełną akceptacją i nadzieją.

Wydawało się więc, że prezydent Obama, zapowiadający „własną drogę” rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego, okaże się bardziej skuteczny i wiarygodny. Zatem ogromne nadzieje i oczekiwania, jakie świat wiązał z pierwszym czarnoskórym prezydentem Stanów Zjednoczonych, odnosiły się również do Bliskiego Wschodu i jego problemów. Podobnie jak wobec innych wyzwań i zadań, które stanęły przed administracją Obamy – choćby załamania w stosunkach transatlantyckich, pogarszającej się sytuacji w Afganistanie i zbyt długo już trwającego zaangażowania Amerykanów w Iraku, spodziewano się skutecznych działań Waszyngtonu, tak samo i tu czekano

³⁶ G. G o l a n, *Israel and Palestine. Peace Plan and Proposals from Oslo to Disengagement*, Princeton 2008, *passim*.

³⁷ Zob. szerzej: J. K i w e r s k a, *Świat w latach 1989-2009...*, s. 207-217.

na konstruktywne propozycje i przełomowe rozstrzygnięcia w konflikcie izraelsko-palestyńskim.

Tymczasem nowy gospodarz Białego Domu przyjął linię działania, zgodnie z którą dla rozwiązania konfliktu bliskowschodniego konieczne jest symbiotyczne połączenie *peacemaking* i *public diplomacy*. Innymi słowy, jeśli Ameryce uda się poprawić swój wizerunek na Bliskim Wschodzie i swe relacje ze światem muzułmańskim, to wówczas będzie można skutecznie włączyć przywódców arabskich w proces budowania pokoju na Bliskim Wschodzie oraz szybciej doprowadzić do pozytywnych rozstrzygnięć. I dalej – rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego służyć będzie umocnieniu pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie islamu³⁸. Trudno było odmówić racji takim założeniom, szczególnie zważywszy na złą reputację, jaką Ameryka cieszyła się wśród społeczności muzułmańskiej po „erze Busha”, i to nie tylko na Bliskim Wschodzie. Społeczność ta była przekonana, że wojna z terroryzmem to w rzeczywistości wojna z islamem, a prawdziwe podejście Amerykanów do muzułmanów wyrażają Abu Ghraib i więzienie w Guantanamo.

Chcąc przywrócić dobrą markę Stanów Zjednoczonych w świecie muzułmańskim, Obama przyjął odmienną niż dotychczas perspektywę oglądu sytuacji. Inaczej niż wielu poprzednich prezydentów, zwłaszcza G. W. Bush, ale też B. Clinton, nowy gospodarz Białego Domu postanowił głośniejszy artykułować punkt widzenia Palestyńczyków, wyraźniej i skuteczniej popierać ich postulaty³⁹. Trudno jednoznacznie przesądzić, czy wpływ na to miał fakt, że Obama nie tylko jest pierwszym prezydentem afroamerykańskim w dosłownym znaczeniu, ale też legitymuje się muzułmańskim *backgroundem*: pochodzący z Kenii ojciec był muzułmaninem, stąd drugie imię prezydenta – Barack Husajn Obama, on sam zaś dzieciństwo spędził w islamskiej Indonezji, dokąd przeniosła się jego matka. W każdym razie Obama uznał, że jego „własna droga” w polityce bliskowschodniej to utrzymanie pewnego dystansu wobec Izraela i większa wrażliwość na racje Palestyńczyków.

Z takim założeniem prezydent Obama włączył się w wysiłki pokojowe na Bliskim Wschodzie i niemal natychmiast wpłynęło to na jego działania. Dowodem – przebieg pierwszego spotkania prezydenta Obamy z izraelskim premierem Benjaminem Netanjahu. Tych dwóch przywódców, choć ukończyli tę samą amerykańską uczelnię – Harvard, dzieliło wiele: Netanjahu to twardy prawicowiec z partii *Likud*, były żołnierz armii izraelskiej, przekonany, że

³⁸ Szerzej: M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 112, 113.

³⁹ Zwiastuny tego dostrzec można było już w czasie kampanii wyborczej. Wprawdzie kandydat Demokratów, zabiegając o głosy wyborców, spotykał się – jak to było w zwyczaju – z amerykańskimi Żydami, w tym z *American Israel Public Affairs Committee*, powszechnie uchodzącym za „lobby izraelskie”, odbył nawet podróż do Izraela. Jednak w jego wystąpieniach pojawiły się wówczas pewne akcenty propalestyńskie, gdy np. zarzucał Bushowi zbytne sprzyjanie Izraelowi lub krytykował izraelską politykę osadnictwa. Z drugiej strony mieliśmy do czynienia z faktem, że na Obamę zagłosowało blisko 78% Amerykanów żydowskiego pochodzenia, a ponad 1/3 funduszu wyborczego kandydata Demokratów pochodziła z dotacji społeczności żydowskiej; R. K a m p e a s, *Democrats Launch Major Pro-Obama Pushback among Jews*, June 7, 2011; www.jta.org/news/article/2011/06/07/3088053/democrats-launch-major-probama-pushback-among-jews.

polityka i przewodzenie państwu musi opierać się na sile, a wobec Palestyńczyków trzeba być twardym. Natomiast bliższy lewicy Obama, legitymujący się profesorskim doświadczeniem – jak wiadomo – był przywiązany do myśli, że większość sporów daje się rozwiązać rozmowami i negocjacjami, a nawet wrogom warto proponować dialog. Gdy więc ci dwaj liderzy spotkali się pierwszy raz 18 maja 2009 r. w Waszyngtonie, owe różnice szybko się ujawniły. Obama mówił o konieczności utworzenia państwa palestyńskiego, Netanjahu wyraził gotowość rozmów z Palestyńczykami, ale o państwie nie wspomniał. Prezydent USA żądał (sic!) wstrzymania budowy nowych osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu Jordanu, natomiast premier Izraela potwierdził zamiar kontynuowania osadnictwa na obszarach, które w przyszłości powinny należeć do państwa palestyńskiego. Jeśli jeszcze dodać, że obaj przywódcy nie zdołali wypracować dobrych relacji osobistych, ważnych i wielce pomocnych, zwłaszcza w realiach bliskowschodnich, to nie dziwi fakt, że atmosfera tego spotkania daleka była od tradycyjnego w stosunkach amerykańsko-izraelskich tonu kordialności⁴⁰. W efekcie między Obamą a Netanjahu nie wytworzył się klimat wzajemnego zaufania i zrozumienia. A przecież wiadomo nie od dziś, jak znaczące i kluczowe w budowaniu pokoju na Bliskim Wschodzie jest współdziałanie Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Ten rozdzwięk w stanowisku przywódcy amerykańskiego i premiera Izraela pogłębił się po słynnym przemówieniu Obamy w Kairze 4 czerwca 2009 r. Skierowane przede wszystkim do świata muzułmańskiego, zawierało też akcenty odnoszące się do strony izraelskiej, które – jak się okazało – przesądziły w dużym stopniu o roli i możliwościach działania dyplomacji amerykańskiej na Bliskim Wschodzie. Amerykański prezydent zaczął wzniośle: „Chcę nowego początku w stosunkach między Stanami Zjednoczonymi a muzułmanami na całym świecie”. Odrzucał stereotyp, że islam i Ameryka są dla siebie wrogami – „mamy wspólne wartości: sprawiedliwość i postęp, tolerancja i godność człowieka. Ameryka nie jest i nigdy nie będzie w stanie wojny z islamem” – przekonywał. Jednak odnosząc się do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, wprawdzie podkreślił „silne więzy, które łączą USA z Izraelem”, ale równocześnie stwierdził, że musi powstać państwo palestyńskie i w ostrym tonie oświadczył: Stany Zjednoczone „nie akceptują budowy kolejnych osiedli żydowskich” na Zachodnim Brzegu Jordanu⁴¹. Ta deklaracja wywołała – warto podkreślić – owację zgromadzonego na kairskim uniwersytecie tłumy.

Jakkolwiek trudno nie dostrzec wagi przesłania amerykańskiego prezydenta – miało ono otworzyć nowy rozdział w relacjach Stanów Zjednoczo-

⁴⁰ Zob. wypowiedź Martina S. Indyka, byłego, dwukrotnego ambasadora USA w Izraelu, później doradcy Obamy oraz specjalisty ds. bliskowschodnich w *Brookings Institution*, który twierdził, że prezydent Obama nie buduje bliskich relacji osobistych, taki ma charakter, w: N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand about Israel and the Middle East*, May 28, 2012; www.brookings.edu/research/interviews/2012/05/28-middle-east-indyk.

⁴¹ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by the President on a New Beginning*, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09. Jak twierdzi M. S. Indyk, towarzyszący wówczas Obamie w Kairze, prezydent, który był autorem tego przemówienia, wygłosił je w takiej właśnie formie wbrew sugestiom doradców; N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand...*

nych ze światem muzułmańskim, to jednak kategoryczne stawianie sprawy osadnictwa żydowskiego, podobnie jak sugerowanie, że istnienie Izraela jest zadośćuczynieniem za Holocaust, a nie historycznie przysługującym Żydom prawem, zostało bardzo negatywnie odebrane w Izraelu⁴². Zamiast stworzyć lepsze perspektywy dla procesu pokojowego, tylko wzmocniło dysonans między Waszyngtonem a Tel Awiwem. Sam fakt, że tak ważne wystąpienie, zawierające odwołania także do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, zostało zaprezentowane w Kairze, potraktowano w Izraelu jako dyshonor. Tym bardziej że na trasie ówczesnej podróży prezydenta Obamy po Bliskim Wschodzie nie znalazło się państwo żydowskie. Co więcej, odwiedzający ponownie Waszyngton w lipcu 2009 r. premier Netanjahu, prezentujący nieustępliwość wobec żądań Obamy, został potraktowany przez administrację niczym niechciany gość, a nie jak demokratycznie wybrany przywódca państwa żydowskiego, szczególnie uwrażliwionego na swe interesy bezpieczeństwa. Dopiełniło to w oczach Izraelczyków złe wrażenia powstałe po wystąpieniu w Kairze⁴³. Do tego dochodziły też inne fakty, może o mniejszej wadze politycznej, jednak bulwersujące izraelską opinię publiczną. Choćby to, że swojego pierwszego wywiadu dla zagranicznej stacji telewizyjnej, jako prezydent, Obama udzielił telewizji *al Arabija*, natomiast dopiero 18 miesięcy później rozmowę z nim mogła przeprowadzić izraelska stacja.

Takimi gestami prezydent Obama sympatii w Izraelu nie zyskał. Co więcej, niechęć do niego przekładała się na rosnące poparcie izraelskiej opinii publicznej dla premiera Netanjahu, twardo opierającego się żądaniom powstrzymania osadnictwa żydowskiego na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu. W Izraelu utwierdziło się nawet przekonanie o „obsesji Obamy na tle osadników”. Rzeczywiście, choć osiedla żydowskie na Terytoriach Okupowanych, będąc od lat jedną z głównych kwestii spornych utrudniających postęp w procesie pokojowym, stanowiły przedmiot uwagi także poprzednich administracji amerykańskich, to jednak nikt wcześniej tak zdecydowanie i ostro tej kwestii wobec Izraela nie stawiał, pomijając niemal zupełnie geopolityczne uwarunkowania problemu, czyli bezpieczeństwo granic Izraela⁴⁴. A już tym bardziej nie określano – tak jak uczynił to prezydent Obama, choćby występując w Kairze – osadnictwa żydowskiego jako „bezprawne” (*illegitimate*)⁴⁵. Teraz nie tylko artykułując, ale niemal utożsamiając się w swoich poglądach z punktem widzenia Palestyńczyków, prezydent Obama stracił zaufanie strony izraelskiej⁴⁶. Znany żydowski publicysta Amnon Lord dowodził, że „Amerykanie najwyraźniej nie potrafią teraz wsłuchać się w głos Izraelczyków”. Odnosiło się to także do różnic w ocenie irańskiego programu nuklearnego, będącego

⁴² W ten sposób Obama odszedł od obowiązującej w Izraelu i uznawanej w USA narracji, według której Żydzi powrócili do swej starożytnej, biblijnej ojczyzny, do której mają pełne prawo.

⁴³ Zob. M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 139.

⁴⁴ Zob. szerzej. J. K i w e r s k a, *Świat w latach 1989-2009...*, s.

⁴⁵ Zob. M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 120.

⁴⁶ Sondaż przeprowadzony po wystąpieniu Obamy w Kairze pokazał, że tylko 6% Izraelczyków uważa prezydenta za proizraelskiego, wobec 50% oceniających go jako propalestyńskiego; cyt. w: „Jerusalem Post” z 27.05.2011.

jednym z głównych wyzwań dla Izraela w zakresie bezpieczeństwa. Oferta prezydenta Obamy, skierowana w marcu 2009 r. do Teheranu, aby rozpocząć dialog z reżimem ajatollahów bez warunków wstępnych, przyjęta została w Izraelu z zaskoczeniem i wielkim sceptycyzmem⁴⁷. Nie rozumiano też, dlaczego prezydent Obama unika podnoszenia kwestii radykalnej organizacji *Hamas*, która przecież odmawia uznania państwa Izrael i nie chce wyrzec się terroru. Nie odnosi się też krytycznie – inaczej niż poprzedni gospodarze Białego Domu – do żądań powrotu potomków uchodźców palestyńskich w granice przyszłego państwa palestyńskiego. Wywoływało to oburzenie Izraelczyków, gdyż – w ich przekonaniu – dowodziło fundamentalnego braku zrozumienia dla problemów i zagrożeń, z którymi boryka się państwo żydowskie.

W tej sytuacji jakby mniej znaczącym czynnikiem wydawały się takie fakty, jak utrzymanie przez administrację Obamy strategicznej pomocy dla Izraela w wysokości 30 mld USD i przyznanie dodatkowych środków na system rakietowy, chroniący ludność cywilną Izraela przed atakami ze strony *Hamasu* i *Hezbollahu*. Ponadto Biały Dom zalecił kontynuowanie współpracy amerykańskich służb i instytucji w zakresie bezpieczeństwa z ich izraelskimi odpowiednikami⁴⁸. Wszystko po to, aby dowieść, że bezpieczeństwo Izraela pozostaje jednym ze strategicznych priorytetów Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Te czynniki wydawały się mniej ważyć w ocenie działań amerykańskiego prezydenta. Tutaj zdawało się dominować wrażenie o rozejściu się perspektywy amerykańskiej i izraelskiej. Ze szkodą dla pozycji i rangi Stanów Zjednoczonych wśród żydowskich mieszkańców Izraela, ale przede wszystkim ich zdolności oddziaływania na bieg spraw bliskowschodnich.

Odnosząc się do taktyki Waszyngtonu, komentatorzy pisali, że stawiając w sposób tak kategoryczny oczekiwania wobec Izraela, w większości nierealistyczne, gdyż dotyczące bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa jego terytorium, administracja Obamy zamiast wzmocnić swe możliwości oddziaływania na Tel Awiw, utraciła zdolność wpływania na stronę izraelską. W tym momencie mniejsze znaczenie dla powodzenia wysiłków pokojowych miał fakt, że specjalny wysłannik G. Mitchell uzyskał od prezydenta plenipotencje, aby kwestię osadnictwa żydowskiego w poufnych rozmowach traktować bardziej elastycznie, a nie tak kategorycznie, jak on sam to uczynił. Tymczasem usztywnienie strony izraelskiej w reakcji na publicznie stawiane przez prezydenta Obamę żądania było faktem niepodważalnym, utrudniającym jakiegokolwiek negocjacje.

Z kolei Palestyńczycy, podbudowani publicznymi obietnicami i oświadczeniami prezydenta Obamy, nie zamierzali w niczym ustępować i domagali się całkowitego zamrożenia osadnictwa żydowskiego na spornym terytorium. Powstał pat trudny do przezwyciężenia. Gdy więc mimo wszystko po 18 miesiącach wysiłków negocjacyjnych Mitchella, wspieranego przez Hosni Muba-

⁴⁷ W tym kontekście warto dodać, że niejako w odpowiedzi na amerykańską ofertę wobec Teheranu oraz w reakcji na kairskie wystąpienie Obamy przywódca duchowy Iranu – Chamanei mówił o zniechęceniu Ameryce.

⁴⁸ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 118.

raka, prezydenta Egiptu (sic!) i Abdullaha, króla Jordanii, doszło wreszcie, we wrześniu 2010 r., do rozmów premiera Netanjahu z Mahmudem Abbasem, przywódcą Autonomii Palestyńskiej, szybko zakończyły się one fiaskiem. Do stołu negocjacyjnego strony już nie wróciły, postępu w ożywieniu procesu pokojowego nie było, mimo że sekretarz stanu Hillary Clinton zapowiadała „substantive two-way conversations”, które pozwolą przygotować grunt dla bezpośrednich negocjacji⁴⁹. Pozostało to tylko deklaracjami.

Natomiast mieliśmy do czynienia z nowymi zawirowaniami na linii Waszyngton-Tel Awiw. Z jednej strony decyzje władz izraelskich o budowie kolejnych osiedli żydowskich, m.in. we Wschodniej Jerozolimie, uważanej przez Palestyńczyków za stolicę ich przyszłego państwa, nie tylko zaogniały sytuację w regionie, ale przede wszystkim pogorszyły stosunki między Izraelem a USA. Dalsza dynamika wydarzeń również nie sprzyjała zbliżeniu stanowisk obu państw. Stronę żydowską wzburzyła opinia prezydenta Obamy z 19 maja 2011 r., że granica z Izraelem przyszłego państwa palestyńskiego powinna opierać się na „linii z 1967 roku”⁵⁰. Ta deklaracja zdominowała spotkanie Obamy z Netanjahu, który następnego dnia przybył do Waszyngtonu. Nie chodziło tylko o to, że tak ważne oświadczenie padło, zanim panowie mogli je wspólnie przedyskutować, a okazja była, wystarczyło kilka godzin zaczekać. Przede wszystkim problem dotyczył bezpośrednio kwestii bezpieczeństwa terytorium Izraela, czyli żywotnych interesów państwa żydowskiego. Nie wchodząc w zawiałości tego problemu, wystarczy zauważyć, że wiązał się on i z kwestią osadnictwa żydowskiego na Zachodnim Brzegu Jordanu – mieszka tam, jeśli wliczyć też Wschodnią Jerozolimę, ponad 500 tys. Żydów, i strategicznymi możliwościami zabezpieczenia granicy. „Ta linia sprzed kilku dekad byłaby dla Izraela nie do obronienia. A my, panie prezydencie, nie możemy pozwolić sobie na duże błędy, bo historia nie da narodowi żydowskiemu drugiej szansy” – stwierdził premier Netanjahu, oddając istotę troski strony izraelskiej⁵¹.

Efekt tego wszystkiego był łatwy do przewidzenia – nastąpiło dalsze ochłodzenie w stosunkach amerykańsko-izraelskich. Gdy w rezultacie braku perspektyw dla powodzenia swej misji rezygnację z funkcji specjalnego wysłannika na Bliski Wschód złożył pod koniec maja 2011 r. G. Mitchell⁵², a następnie prezydent Obama poinstruował swych dyplomatów, aby nie angażowali się w zabiegi o ożywienie procesu pokojowego, w sprawach bli-

⁴⁹ H. Clinton, *Remarks at the Brookings Institution's Saban Center for Middle East Policy seventh Annual Forum*, December 10, 2010, www.state.gov/secretary/rm/2010/12/152664.html.

⁵⁰ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama on Middle East and North Africa*, May 19, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/05/19/remarks-president-middle-east-and-north-africa.

⁵¹ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama and Prime Minister Netanyahu after Bilateral Meeting*, May 20, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/05/20/remarks-president-obama-and-prime-minister-netanyahu-israel-after-bilate.

⁵² Do dymisji G. Mitchell podał się już w kwietniu 2011 r., wcześniej w grudniu 2010 r. odbył ostatnią, zakończoną fiaskiem, podróż na Bliski Wschód. Jednak dopiero 5 tygodni później Biały Dom poinformował oficjalnie o tym fakcie; zob. komentarz na ten temat: S. L. Myers, *Amid Impasse in Peace Negotiations, America's Chief Middle East Envoy Resigns*, „New York Times” z 13.05.2011.

skowschodnich nastąpił całkowity impas. Powstało wrażenie, że żadnych poważniejszych działań administracja Obamy nie podejmie przed listopadem 2012 r., czyli wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych. Prowadząc politykę bliskowschodnią „na swój sposób” i popełniwszy na tej drodze wiele błędów – co przyznawali nawet zwolennicy prezydentury Obamy – poniósł on dotkliwą porażkę. Co więcej, podważył wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako mediatora w konflikcie izraelsko-palestyńskim⁵³.

Można zatem zadać pytanie, czy wobec tego prezydent Obama otrzymał przynajmniej rekompensatę w postaci poprawy relacji ze światem muzułmańskim, o co przecież zabiegał i co legło u podstaw jego bliskowschodniej polityki. Odpowiedź może być zaskoczeniem. Okazuje się bowiem, że taktyka Obamy nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Wprawdzie przemówienie kairskie w czerwcu 2009 r. zostało bardzo pozytywnie przyjęte nie tylko w Egipcie, ale również w wielu krajach muzułmańskich – w Kairze słuchały go tysiące ludzi, transmitowały najważniejsze stacje telewizyjne świata muzułmańskiego, Biały Dom szeroko kolportował je nie tylko w języku angielskim, ale również arabskim, perskim i urdu⁵⁴. Starano się więc wykreować przesłanie Obamy na symbol nowego rozdziału w relacjach Stanów Zjednoczonych ze światem islamu. Pozytywnie oceniali je przywódcy Ligi Arabskiej i niektórzy przedstawiciele arabskiej elity intelektualnej. Ale już wówczas wyrażano zastrzeżenia, że amerykański prezydent „nie powiedział nic, co zaskoczyłoby obserwatorów jego prezydentury”⁵⁵. Powątpiewając w możliwość wcielenia postulatów w życie, wpisywano przemówienie Obamy w cykl pięknych słów i wzniosłych haseł, trudnych do realizacji. Najbardziej krytyczne stanowisko zajęły radykalne ugrupowania palestyńskie, z *Hamasem* na czele. W ich oświadczeniu napisano, że jest to „próba oszustwa i stworzenia iluzji, by poprawić obraz Ameryki w świecie”⁵⁶.

Z czasem można było odnieść wrażenie, że sceptycyzm wyrażany w komentarzach znajduje pełne potwierdzenie w faktach. W grę bowiem wchodziła wyraźna niekonsekwencja administracji amerykańskiej w odniesieniu do sporu izraelsko-palestyńskiego. Najlepszym tego przykładem były losy obietnicy o powstaniu państwa palestyńskiego. Pojawiła się ona zarówno w mowie kairskiej Obamy, jak i padała przy innych okazjach. Ponadto deklaracja amerykańskiego prezydenta, złożona we wrześniu 2010 r. na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, że już w następnym roku osiągnie się porozumienie, „które wprowadzi do ONZ nowego członka – niepodległe, suwerenne państwo Palestynę, żyjące w pokoju z Izraelem”⁵⁷, została

⁵³ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *Bending History...*, s. 137 i n.

⁵⁴ Z sondażu przeprowadzonego przez *Zogby International* wynikało, że w Egipcie poparcie dla Stanów Zjednoczonych wzrosło z 9% w 2008 r. (pod koniec urzędowania Busha) do 30%, w Maroku – z 26% do 55%; cyt. w: „Gazeta Wyborcza” z 18.07.2011.

⁵⁵ Zob. wypowiedź Gerszona Baskina z Izraelsko-Palestyńskiego Centrum Badań i Informacji w Jerozolimie w: „Gazeta Wyborcza” z 5.06.2009.

⁵⁶ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” z 5.06.2009.

⁵⁷ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly*, September 23, 2010, www.whitehouse.gov/the-press-office/2010/09/23/remarks-president-united-nations-general-assembly.

dość jednoznacznie odebrana przez przywódców Autonomii Palestyńskiej oraz generalnie świat arabski. Uznano, że prezydent Stanów Zjednoczonych otworzył Palestynie jako suwerennemu państwu w bliskiej już perspektywie drzwi do ONZ. Było to o tyle znaczące, że dotychczas większość państw członkowskich Narodów Zjednoczonych sprzyjała Palestyńczykom; USA były właściwie jedynym państwem, które konsekwentnie wspierało Izrael i w obronie jego interesów stosowało weto w Radzie Bezpieczeństwa. Teraz, zachęceni słowami Obamy, przywódcy palestyńscy zamierzali we wrześniu 2011 r. ubiegać się o członkostwo państwa palestyńskiego w ONZ (czyli *de facto* wnioskować o uznanie swej niepodległości na forum ONZ). Byli przekonani, że po swojej stronie będą mieli Stany Zjednoczone⁵⁸.

Tymczasem prezydent Obama zastosował kolejny, coraz bardziej charakterystyczny dla swej prezydentury „zwrot” i już w maju 2011 r. zapowiedział weto wobec wniosku Palestyńczyków o członkostwo w ONZ (wcześniej zawetował rezolucję Rady Bezpieczeństwa potępiającą izraelską politykę osadnictwa). Zrozumiał bowiem, że byłoby to jednoznaczne opowiedzenie się po stronie Palestyńczyków, a w wyraźnej opozycji wobec Izraela. Na to w obliczu przyszej walki o reelekcję, gdzie liczył na poparcie amerykańskich Żydów, nie mógł sobie pozwolić. Dlatego jego kolejne wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ we wrześniu 2011 r. miało już zupełnie inny wydźwięk niż rok wcześniej. Koncentrowało się na kwestii bezpieczeństwa Izraela i Izraelczyków, szczególnie doświadczonych historycznie. Amerykański prezydent mówił: „Izrael jest otoczony przez sąsiadów, którzy wywoływali wojny. Obywatele Izraela ginęli od pocisków raketowych, wystrzeliwanych na ich domy, zabijani byli w samobójczych atakach (...). Izrael to mały kraj, który wielu przywódców znacznie większych narodów chciałoby wymazać z mapy”⁵⁹. To wystąpienie podobało się w Izraelu oraz wywołało zadowolenie Żydów w Ameryce, natomiast rozczarowało Palestyńczyków i świat arabski. W zasadzie przesądziło o niepowodzeniu planów kreślonych przez przywódców Autonomii Palestyńskiej.

Palestyńczycy nie mieli więc swojego państwa, nawet przedstawicielstwa w ONZ, a Izrael utrzymał swą twardą linię działania wobec Autonomii Palestyńskiej i jej żądań. Co gorsza, brak było widoków na wznowienie negocjacji izraelsko-palestyńskich. Taktyka Obamy okazała się zupełnie nieskuteczna. Z jednej strony doprowadziła do pogorszenia relacji z Izraelem, co utrudniało wywalczenie jakiegoś kompromisu, z drugiej – rozczarowała społeczność palestyńską/arabską, bo nie przyniosła realizacji zapowiadanych celów. W świecie arabskim zaczęła się więc upowszechniać ocena działań Białego Domu, sformułowana wcześniej przez palestyńskich radykałów – polityka zakłamana, stronnicza i wielce rozczarowująca.

⁵⁸ Zob. wypowiedź M. S. Indyka w: N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand...*

⁵⁹ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by President Obama to the United Nations General Assembly*, September 21, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/09/21/remarks-president-obama-address-united-nations-general-assembly.

Amerykańskiemu prezydentowi nie udało się pozyskać sympatii społeczności muzułmańskiej/arabskiej ani dla Stanów Zjednoczonych, ani w odniesieniu do jego osoby. Przyznawali to nawet doradcy Białego Domu, wśród nich uchodzący za czołowego eksperta ds. bliskowschodnich, były dwukrotny ambasador Stanów Zjednoczonych w Izraelu – Martin S. Indyk. W rozmowie z izraelskim dziennikarzem w maju 2012 r. przyznał, że prezydent Obama nie zyskał zaufania świata muzułmańskiego, którego tak naprawdę nie rozumiał⁶⁰. Arabska społeczność mniej bowiem dbała o to, czy Stany Zjednoczone utrzymają dystans wobec Izraela, natomiast byłaby bardziej zadowolona, gdyby dobre relacje na linii Waszyngton-Tel Awiw zaowocowały realizacją obietnic składanych przez Obamę, przede wszystkim doprowadziły do powstania państwa palestyńskiego. Nic takiego nie nastąpiło. W efekcie wytworzyła się sytuacja zaskakująca – wskaźnik sympatii do Stanów Zjednoczonych w świecie arabskim spadł poniżej poziomu z czasów końca prezydentury G. W. Busha i wynosił – według sondażu przeprowadzonego w lipcu 2011 r. – około 10%⁶¹. Jakkolwiek na te wyniki wpłynęła również ocena działań administracji Obamy wobec „arabskiej wiosny”, to jednak decydujące znaczenie miała polityka Waszyngtonu w odniesieniu do kwestii palestyńskiej.

Z perspektywy świata muzułmańskiego prezydent Obama okazał się nie tylko nieskuteczny, ale przede wszystkim niewiarygodny, zawiódł zaufanie Palestyńczyków – najpierw wiele obiecał, aby następnie dokonać zwrotu lub szukać kompromisu i w efekcie pozostawić sprawy bez rozwiązania, a strony sporu niezadowolone. Krytycznie pod adresem Obamy wypowiedziano się także w Tel Awiwie. Bo choć administracja Obamy utrzymała, a nawet w niektórych sferach zwiększyła pomoc strategiczną dla państwa żydowskiego, to jednak swą polityką, uważaną za propalestyńską, pozbawioną wrażliwości na interes tego państwa, prezydent nie zyskał sympatii ani izraelskiej opinii publicznej, ani przywódców Izraela. Taki okazał się bilans polityki administracji amerykańskiej ostatnich czterech lat. „Nigdzie w polityce zagranicznej Obamy nie ma większej przepaści między tym, co obiecano, a tym, co osiągnięto, niż w odniesieniu do Bliskiego Wschodu” – pisał M. S. Indyk⁶². Trudno o trafniejszą ocenę.

⁶⁰ Cyt. w: w: N. B a r n e m, *What Obama Doesn't Understand...*

⁶¹ Cyt. w: „Gazeta Wyborcza” z 18.07.2011.

⁶² M. S. I n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O' H a n l o n, *Bending History...*, s. 112; zob. też wypowiedź amerykańskiego eksperta Khaled Elgindy w: *In Arab World, Obama Has Alien from Grace*, September 12, 2012. Zob. M. S. I n d y k, D. L. B y m a n, B. R i e d e l, M. D o r a n, *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?* September 13, 2012, www.brookings.edu/research/interviews/2012/09/12-arab-world-obama-elgindy.

3. Rewolucja w świecie arabskim – „islamski dylemat”

Dynamika wydarzeń, których areną od początku 2011 r. stała się Afryka Północna i Bliski Wschód, określonych mianem „arabskiej wiosny” lub „rewolucji arabskiej”, mogła być doskonałą okazją dla administracji Obamy do zrehabilitowania się za nieskuteczną i bezowocną politykę wobec konfliktu bliskowschodniego. Podjęcie wyzwania można było również traktować jako czynnik nadający nowy sens istnieniu i funkcjonowaniu układu transatlantyckiego. Wystarczyło wspólnie określić strategię wobec rewolucji arabskiej i konsekwentnie we współpracy z sojusznikami europejskimi ją realizować.

Jednak wybuch społecznego niezadowolenia w krajach arabskiej Afryki i Bliskiego Wschodu, zapoczątkowany w grudniu 2010 r. w Tunezji, następnie obejmujący swym zasięgiem Egipt, Bahrajn, Libię i Syrię – żeby wymienić tylko najważniejsze państwa ogarnięte rewoltą – postawił Waszyngton w niezwykle trudnej sytuacji. Istota problemu polegała na tym, że niektóre chwiejące się w posadach autorytarne reżimy, zwłaszcza Hosniego Mubaraka w Egipcie, dotychczas należały do głównych sojuszników Ameryki w regionie. Dość przypomnieć, że po Iraku, Afganistanie oraz Izraelu to właśnie Egipt był największym odbiorcą amerykańskiej pomocy w wysokości 1,5 mld USD rocznie, w tym 1,3 mld USD otrzymywał w ramach wsparcia wojskowego⁶³. W ten sposób Amerykanie zabezpieczali swoje strategiczne interesy na Bliskim Wschodzie, których arabskie centrum od 35 lat znajdowało się właśnie w Egipcie⁶⁴. Wyjątkową rolę i znaczenie Egiptu, obok strategicznego położenia przy Kanale Sueskim i na styku trzech kontynentów, należało również wiązać z jego postawą wobec Izraela, z którym Kair od kilku już dziesięcioleci utrzymywał stosunki dyplomatyczne. To pokojowe porozumienie z Izraelem „stanowiło czynnik stabilizacji i pokoju w świecie arabsko-izraelskim. Tak długo, dopóki ono istnieje, żadne państwo arabskie nie zdecyduje się na działania zbrojne wobec Izraela” – dowodzili amerykańscy eksperci⁶⁵. Warto jedynie dodać, że przez ostatnie 30 lat gwarantem takiej sytuacji, korzystnej dla amerykańskich interesów w regionie, był rządzący autorytarnie Egiptem prezydent Mubarak. A więc Stany Zjednoczone – z zasady wspierające różne wolnościowe i niepodległościowe ruchy – tym razem nie miały prostego wyboru, gdyż rewolucja arabska wymierzona była w ich sojusznika/sojuszników.

⁶³ Cyt. w: S. Hamid, *Egypt: The Prize*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington 2011, s. 109; zob. też, *After Tunisia: Obama's Impossible Dilemma in Egypt*, January 25, 2011, www.brookings.edu/research/articles/2011/01/25-egypt-hamid.

⁶⁴ D. L. Byman, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?* February 25, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1.

⁶⁵ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 142.

Fakt, że generalnie Ameryka nie cieszyła się sympatią arabskiej ulicy, która właśnie demonstrowała w Tunezji, Egipcie, Jemenie czy Bahrajnie, tylko komplikował sytuację administracji amerykańskiej⁶⁶. Zresztą ta niechęć wobec amerykańskiego supermocarstwa miała swoje uzasadnienie, związane nie tylko z tradycyjną polityką Waszyngtonu wspierania lokalnych reżimów, ale przede wszystkim wynikające z przekonania o sprzyjaniu Izraelowi kosztem społeczności palestyńskiej. Było to też pokłosie walki z terroryzmem, utożsamianej w potocznej świadomości świata arabskiego z wojną wymierzoną w islam. Warto jednak w tym kontekście podkreślić, że to prezydent George W. Bush, po obaleniu Saddama Husajna, próbował promować *freedom agenda* na Bliskim Wschodzie, szczególne oczekiwania kierując wobec Mubaraka, aby ten poszerzył w kraju przestrzeń dla demokracji i wolności. To amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice, występując na kairskim uniwersytecie w 2005 r. przyznawała: „Przez 60 lat Stany Zjednoczone forsowały w tym regionie spokój kosztem demokracji, w efekcie nie udało nam się niczego na Bliskim Wschodzie osiągnąć. Dlatego obawa przed wolnym wyborem nie może już dłużej uzasadniać braku wolności”⁶⁷. Jednak dynamika wydarzeń w konflikcie bliskowschodnim, wywołana między innymi zwycięstwem radykalnego *Hamasu* w wyborach na terenie Autonomii Palestyńskiej w 2006 r., spowodowała, że dewizą polityki Stanów Zjednoczonych wobec reżimów w regionie pozostała *stability* jako najbardziej pożądany stan rzeczy, bo zabezpieczający amerykańskie interesy⁶⁸.

Z kolei prezydent Obama, jakkolwiek nie odszedł zasadniczo od tendencji utrzymania *stability* w regionie, to jednak w swojej determinacji odcięcia się od polityki poprzednika zdecydowanie odrzucił promowanie, zwłaszcza siłą, demokracji na Bliskim Wschodzie – w jego wizjonerskiej retoryce rzadko pojawiało się słowo demokracja. W słynnej, skierowanej do świata muzułmańskiego mowie Obamy, wygłoszonej w Kairze na początku czerwca 2009 r., pojawiło się natomiast zdanie: „(...) żaden system rządów nie może ani nie powinien być narzucany jednemu narodowi przez inne”⁶⁹. Także w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, dokumencie opublikowanym przez administrację Obamy w maju 2010 r., fragment o wspieraniu demokracji i praw człowieka za granicą znalazł się dopiero na 38 stronie liczącego 52 strony opracowania i to raczej w ujęciu, że najlepszą drogą promowania przez Amerykę wartości będzie ich przestrzeganie we własnym kraju. Zapowiadając zaś współpracę z autorytarnymi reżimami na różnych polach (gospodarczym, walki z terro-

⁶⁶ Należy przypomnieć, że w wielu krajach arabskich, także w Egipcie, poparcie dla Stanów Zjednoczonych było niższe w okresie prezydentury Obamy niż za czasów Busha, co należało tłumaczyć m.in. jako efekt rozczarowania polityką czarnoskórego prezydenta i zawiedzionych nadziei, rozbudzonych mową Obamy w Kairze.

⁶⁷ Secretary of State Condoleezza Rice, remarks, Americana University in Cairo, June 20, 2005, www.offnews.info/downloads/Document-458.pdf.

⁶⁸ K. M. Pollack, *Introduction: Understanding the Arab Awakening*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington 2011, s. 7.

⁶⁹ White House, Office of the Press Secretary, *Remarks by the President on a New Beginning*, Cairo University, June 4, 2009; www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09.

ryzmem i w zakresie nieprolifracji) sugerowano, że Stany Zjednoczone są bardziej po ich stronie niż przeciwników dyktatorów⁷⁰.

Jakkolwiek chodzi o obszar jedynie sąsiadujący z regionem, który na początku 2011 r. ogarnęło rewolucyjne wrzenie, to jednak trudno nie wspomnieć o reakcji administracji Obamy na wydarzenia w Iranie, gdy to masowo protestowano tam przeciwko oszustwom wyborczym, których dopuścił się reżim Mahmuda Ahmadinedżada w lecie 2009 r. W odpowiedzi na krwawe tłumienie społecznego protestu w Teheranie, prezydent Obama – przywiązany do swej myśli o konieczności prowadzenia dialogu nawet z przeciwnikiem – powtarzał, że „despite numerous differences, there is still room for cooperation”⁷¹.

W tej zdominowanej różnymi czynnikami sytuacji nie dziwi fakt początkowo dość wstrzemięźliwej, a zdaniem niektórych analityków nawet zbyt opieszalej, reakcji administracji Obamy na wydarzenia w Afryce Północnej⁷². Można także zaryzykować stwierdzenie, że Waszyngton nie dość wcześnie i w nieodpowiednim stopniu uświadomił sobie wagę i skalę rozpoczynającego się procesu. Błyskawiczny upadek reżimu Zina al-Abidina Ben Alego w Tunezji w połowie stycznia 2011 r. właściwie nie wywołał większego poruszenia w Białym Domu. Można było to tłumaczyć okolicznością, że obszar Maghrebu nie traktowano w amerykańskiej strategii w jakiś wyjątkowy sposób. Dlatego amerykańska sekretarz stanu Hillary Clinton zapewniała, że USA w sprawie Tunezji „nie zajmują stanowiska”⁷³. Zaskakuje jednak inna wypowiedź szefowej amerykańskiej dyplomacji, która 25 stycznia 2011 r., czyli już po upadku Ben Alego i reagując na pierwsze protesty w Egipcie, zakończone ofiarami śmiertelnymi i setkami aresztowanych, stwierdziła z pełnym przekonaniem: „Nasza ocena jest taka, że rząd Egiptu jest stabilny i poszukuje sposobu, aby odpowiedzieć na słuszne potrzeby i racje społeczeństwa egipskiego”⁷⁴. Dopiero gdy kolejne dziesiątki i setki tysięcy Egipcjan wyszło na ulice Kairu, administracja Obamy bardziej doceniła rangę wydarzeń i skutki, jakie mogą one wywołać. Wypowiedzi jej przedstawicieli, podobnie jak samego prezydenta sprowadzały się głównie do apeli pod adresem reżimu Mubaraka o rozważne działanie, bez używania siły i represji wobec protestujących tłumów, a także uznanie słusznych racji i żądań społeczeństwa egipskiego. Równocześnie podkreślano wolę współpracy z prezydentem Mubarakiem „w wysiłkach budowania przyszłości bardziej sprawiedliwej, wolnej i stwarzającej lepsze szanse rozwoju”⁷⁵.

⁷⁰ White House, *National Security Strategy*, May 2010, www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf.

⁷¹ President Obama, opening remarks on Iran, June 23, 2009, www.whitehouse.gov/blog/The-Presidents-Opening-Remarks-on-Iran-with-Persian-Translation/.

⁷² Zob. S. Hamid, *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-obama-hamid.

⁷³ W latach 1989-2010 Stany Zjednoczone przekazały Tunezji wsparcie finansowe w wysokości 349 mld USD, głównie z przeznaczeniem na walkę z terroryzmem; cyt. w: S. Hamid, *Tunisia: Birthplace of the Revolution*, w: *The Arab Awakening. America and the Transformation of the Middle East*, The Brookings Institution, Washington 2011, s. 115; także zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 141, 144.

⁷⁴ Cyt. w: *Egypt's Unstable Regime*, „The Washington Post” z 25.01.2011.

⁷⁵ President Obama, opening remarks on the situation in Egypt, January 28, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/01/28/remarks-president-situation-egypt.

Trudno odmówić racji takiej wyważonej, aczkolwiek niejednoznacznej taktyce administracji amerykańskiej, która krępowana skomplikowanymi uwarunkowaniami nie była w stanie działać wyraziście i zdecydowanie. Raczej starała się zachować bezpieczny dystans wobec dynamiki wydarzeń, nie wykluczając możliwości zastosowania innej opcji, ale też nie zamykając sobie drogi do którejkolwiek ze stron toczącego się z taką siłą sporu. Z pewnością całkowite milczenie wobec krwawych starć w Egipcie byłoby interpretowane jako wspieranie reżimu Mubaraka, zaś aktywne zaangażowanie się na rzecz protestujących – zresztą nie wiadomo, czy przez nich oczekiwane – oprócz tego, że mogło wyglądać na hipokryzję, to groziło jeszcze większym natężeniem sporu, wojny domowej nie wykluczając. Ale równocześnie Shadi Hamid, ceniony ekspert z *Brookings Doha Center*, znając dylematy polityki amerykańskiej związane z dotychczasowym wspieraniem reżimu Mubaraka, stawiał zasadnicze pytanie, czy Stany Zjednoczone chcą prawdziwej demokracji w Egipcie. Czy może korzystniejsze będzie utrzymanie istniejącego proamerykańskiego reżimu, nieco tylko zreformowanego?⁷⁶

Główny problem polegał bowiem i na tym, że mgliście i niepewnie rysowała się przyszłość Egiptu po ewentualnym obaleniu reżimu Mubaraka. Zakładając nawet optymistycznie, że zwycięży kierunek ku demokracji, to – jak od początku rewolty w Egipcie przewidywano – najbardziej prawdopodobnym zwycięzcą w tym nowym, demokratycznym rozdaniu mogło być Bractwo Muzułmańskie, utożsamiane nie tylko z fundamentalizmem islamskim, ale wręcz z terroryzmem i dlatego od 1954 r. formalnie zakazane. Pojawiały się wprawdzie głosy, że Bractwo Muzułmańskie w ostatnich czasach odeszło od fundamentalistycznej ideologii i stało się siłą mniej radykalną, a to powinno osłabić wszelkie obawy⁷⁷. Mimo to trudno było przesądzić o pozytywnym rozwoju wypadków w Egipcie „po Mubaraku”, co potęgowało wątpliwości nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale również w politycznych i eksperckich kręgach innych państw Zachodu. Była to bowiem kwestia głęboko analizowana zarówno w Ameryce, jak i Europie. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że „arabska wiosna” stała się przedmiotem niezwykle ożywionej dyskusji toczonej po obu stronach oceanu. Dawno już żadne wydarzenie nie wywołało takiego intelektualnego rozbudzenia i stawiania tak licznych pytań o kierunek

⁷⁶ S. H a m i d, *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011...; zob. inne uwagi ekspertów na temat dylematów, przed jakimi administrację amerykańską postawiły wydarzenia w Afryce Północnej: t e n z e, *After Tunisia...*; I. S h a r q i e h, *What Secretary Clinton Does Not Recognize About Egypt's Anti-Regime Protests*, January 27, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/27-egypt-clinton-sharqieh; B. R i e d e l, *Don't Fear Egypt's Muslim Brotherhood*, January 28, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/01/28-egypt-riedel...

⁷⁷ B. R i e d e l, *Don't Fear Egypt's Muslim Brotherhood...*; podobnie sprawy widział O. Roy, francuski politolog, znawca islamu, który dowodził, że wydarzeń w świecie arabskim nie należy utożsamiać z fundamentalizmem islamskim. Pisał on w „Le Monde” na początku „arabskiej wiosny”: „Inicjatorzy demonstracji to już zupełnie inne pokolenie, postfundamentalistyczne. (...) Inaczej niż ich poprzednicy (...) nie odwołują się do islamu. Przede wszystkim chcą się pozbyć skorumpowanych dyktatorów, żądają demokracji”. Zaś odnosząc się do Bractwa Muzułmańskiego dowodził, że „nie jest już orędownikiem alternatywnego modelu gospodarczego czy społecznego (...), a od kiedy wyrzekło się rewolucji islamskiej, jest bardziej skłonne do współpracy z innymi siłami politycznymi”; przedruk: *Fundamentalisci z ludzką twarzą*, „Gazeta Wyborcza” z 19-20.02.2011. „

przemian oraz ich skutki – pisano wręcz, że „rewolucja egipska to rodzaj trzęsienia ziemi. Wydarzenia, które wstrząsnęły Bliskim Wschodem, są na miarę rewolucji w Iranie”⁷⁸. Wszak chodziło o region znajdujący się w strategicznym sąsiedztwie Zachodu oraz zasobny w surowce energetyczne.

Ale nawet jeśli różne wątpliwości były wyrażane, to zarówno w analizach, jak i *summa summarum* stanowisku administracji Obamy dominowała tendencja, że należy opowiedzieć się po stronie przeciwników reżimu Mubaraka, gdyż „pomimo komplikacji, jakie demokratyczny Egipt może stanowić dla strategii amerykańskiej w regionie, to jednak jest to najlepsze, realistyczne wyjście dla polityki Stanów Zjednoczonych”⁷⁹. Stąd dość skuteczne, choć zbytnio nie eksponowane publicznie działania podjęte przez administrację Obamy, w tym ostrzeżenie skierowane do władz Egiptu o obcięciu amerykańskiej pomocy wojskowej, jeśli nie zaprzestanie się krwawego tłumienia rewolty i kontynuowane będą represje wobec protestujących Egipcjan, a także dyplomatyczne naciski wywierane na Mubaraka, zmuszające go do rezygnacji z władzy. Wreszcie 1 lutego 2011 r. miało miejsce telewizyjne wystąpienie prezydenta Obamy, w którym zwrócił się on do Mubaraka o natychmiastowe rozpoczęcie pokojowego przekazania władzy: „I indicated tonight to President Mubarak – is my belief that an orderly transition must be meaningful, it must be peaceful, and must begin now”⁸⁰. Trudno wykluczyć, że te właśnie gesty ze strony Waszyngtonu spowodowały opowiadanie się egipskiej armii po stronie demonstrujących na Placu Tahrir. A w ostatecznym efekcie przyczyniły się do ustąpienia Mubaraka z urzędu 11 lutego 2011 r. i tymczasowego przejęcia władzy przez wojskowych. Tym samym przestał istnieć w odniesieniu do Egiptu główny dylemat amerykańskiej polityki w regionie: jak pogodzić deklarowane przez USA przywiązanie do wartości demokratycznych i wolnościowych z dobrymi relacjami łączącymi Amerykę z autorytarnymi reżimami⁸¹.

Pozostał jednak nierozstrzygnięty problem, czy nowe władze, nawet wybrane w drodze demokratycznych procedur, opowiedzą się po stronie Ameryki/Zachodu i pozwolą, aby Egipt był nadal filarem amerykańskiej strategii w regionie. Czy będą zdolne zapomnieć o wcześniejszym sojuszu Ameryki z dyktatorem i uwierzyć teraz w uczciwe intencje Waszyngtonu, gotowego wesprzeć przemianę w Egipcie? Wreszcie, czy amerykańska pomoc będzie oczekiwana i pożądana oraz jak powinna ona wyglądać?

Natychmiastowa niemalże reakcja prezydenta Obamy, który jeszcze tego samego dnia, w którym upadł reżim Mubaraka, wygłosił z foyer Białego Domu specjalne oświadczenie, miała te nowe dylematy rozstrzygnąć lub przynajmniej

⁷⁸ K. M. Pollack, *Winds of Change in the Middle East*, February 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0227_middle_east_pollack.aspx?p=1.

⁷⁹ D. L. Byman, *Democracy in Egypt: What Are the Risks to the United States?* February 25, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0209_egypt_democracy_byman.aspx?p=1; zob. także S. Hamid, *America's „Islamist Dilemma” and Egypt's Muslim Brotherhood*, February 9, 2011, www.brookings.edu/research/opinions/2011/0202_egypt_us_hamid.aspx?p=1.

⁸⁰ Cyt. w: M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 145-148.

⁸¹ K. M. Pollack, *Introduction: Understanding the Arab Awakening...*, s. 8.

zarysować perspektywy ich rozwiązania. Obama próbował wykorzystać okazję, aby wyrażając uznanie dla Egipcjan i solidarność Ameryki z ich wolnościowymi aspiracjami, zagwarantować sobie – bez względu na dalszy bieg spraw – dobre relacje z tym ważnym strategicznie partnerem. Zwrócenie się bezpośrednio do egipskiej opinii publicznej było o tyle istotne, że pozostała ona krytyczna wobec amerykańskiej polityki w regionie i to niezależnie od reakcji administracji Obamy na wydarzenia „arabskiej wiosny”. Aż 40% Egipcjan uważało, że Stany Zjednoczone – trzymając się z boku – odegrały negatywną rolę w rewolcie i dopiero pod jej koniec poparły protestujących, natomiast tylko 20% dostrzegało pozytywny udział Ameryki w wydarzeniach. Co gorsza, sondaże przeprowadzone dwa miesiące po upadku Mubaraka, w kwietniu 2011 r. wskazywały, że więcej Egipcjan pozytywnie ocenia Al-Kaidę i jej przywódcę Osamę bin Ladena niż deklarujące konsekwentnie swe poparcie dla przemian w Egipcie państwo amerykańskie⁸². W takim kontekście eliminacja czołowego terrorysty, a równocześnie bohatera masowej wyobraźni muzułmanów przez amerykańskie siły specjalne 2 maja 2011 r. musiała przynieść wyłącznie negatywne, dalekosiężne skutki dla odbudowy pozytywnego wizerunku Ameryki w świecie islamu.

Tym większe znaczenie mogły mieć natomiast konkretne gesty ze strony Stanów Zjednoczonych. Sugerowało je wielu analityków i ekspertów, uczestniczących w nadal dynamicznie rozwijającym się na gruncie amerykańskim dyskursie intelektualnym i politycznym. Dominowały głosy postulujące udzielenie przez Stany Zjednoczone zdecydowanej pomocy finansowej i odegranie kluczowej roli w procesie demokratycznej transformacji państw regionu. S. Hamid dowodził, że wspierając przemiany w świecie arabskim, Ameryka zyskałaby wiarygodność i sympatię. Wręcz twierdził, że „pomoc Ameryki (...) oraz udana transformacja w Egipcie i Tunezji służyłyby odbudowie dobrych relacji między Stanami Zjednoczonymi a światem arabskim, co przecież obiecał Obama podczas kairskiego przemówienia w 2009 r., wymownie je tytułując: *A New Beginning*”⁸³. Zgadzano się, że teraz przed Ameryką otwiera się możliwość przezwyciężenia błędów z przeszłości i dokonania rzeczywistego „nowego otwarcia” w stosunkach ze światem islamu⁸⁴. Należało też uwzględnić fakt, że wprawdzie Stany Zjednoczone nie były najlepiej oceniane w świecie arabskim, to jednak na horyzoncie i w najbliższej perspektywie czasowej trudno było dostrzec gracza gotowego przejąć w tym regionie rolę, którą pełniła dotąd w tak dużym wymiarze Ameryka. Wprawdzie trzeba było pamiętać o rosnącej potędze gospodarczej Chin i ich możliwościach inwestycyjnych, tym bardziej jednak – zdaniem wielu analityków – należało to traktować jako wyzwanie do działania⁸⁵.

⁸² Cyt. w: S. H a m i d, *Egypt: The Prize...*, s. 108, 109.

⁸³ S. H a m i d, *How Obama Got Egypt Wrong*, January 28, 2011...

⁸⁴ K. M. P o l l a c k, *Winds of Change in the Middle East...*

⁸⁵ B. J o n e s, *The West, the Rest, and the New Middle East: Obama in London*, May 27, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0527_global_order_jones.aspx?p=1

Nie zmieniało to jednak wagi głównego zadania, jakie spadło na Stany Zjednoczone – udzielenie państwu arabskiemu, które weszły na drogę transformacji, skutecznej pomocy gospodarczej. Zadeklarował ją prezydent Obama już 19 maja 2011 r. w kolejnym głośnym przemówieniu skierowanym do świata arabskiego. Zapowiedział w nim umorzenie części egipskich długów, udzielenie kredytów w wysokości 1 mld USD (przy równoczesnym utrzymaniu dotychczasowej pomocy o łącznej sumie 1,5 mld USD rocznie). To, co jednak szczególnie zwróciło uwagę komentatorów, to akcenty oportunistyczne zawarte w wystąpieniu amerykańskiego prezydenta. Tak oceniano fakt, że Obama, choć generalnie poparł wolnościowe i demokratyczne aspiracje w regionie, to jednak nie odniósł się do sytuacji w krajach, gdzie wprawdzie nie było jeszcze zdecydowanych symptomów buntu, ale też nie podjęto koniecznych reform. Przede wszystkim chodziło o Arabię Saudyjską, ważnego sojusznika USA w rejonie Zatoki Perskiej. Wobec innego sojusznika na Bliskim Wschodzie – Bahrajnu, słowa krytyki za brutalne rozpędzenie demonstrantów i masowe aresztowania były na tyle wyważone, aby nie zaszkodzić amerykańskim interesom (Bahrajn to miejsce stacjonowania 5. Floty USA). Prezydent nie wspominał też o udziale saudyjskich żołnierzy w tłumieniu protestów na ulicach Bahrajnu. Dlatego w komentarzach wiele było rozczarowania mową Obamy, jej oględnością i połowicznością. Pisano, że administracja amerykańska niewiele zrobiła, aby odzyskać wiarygodność i zaufanie świata arabskiego⁸⁶. Nie stwarzało to dobrych perspektyw dla zbudowania lepszego wizerunku Stanów Zjednoczonych w regionie.

W tym miejscu nasuwa się pytanie, czy udział Stanów Zjednoczonych w kolejnym konflikcie, który wstrząsnął Afryką Północną, wpłynął na ich pozycję w świecie arabskim. Następnym bowiem krajem, które ogarnęło rewolucyjne wrzenie, była Libia. Niemal nazajutrz po obaleniu Mubarak, w połowie lutego 2011 r. na ulice libijskich miast wyszli demonstranci, protestujący przeciwko reżimowi Muammara Kaddafiego. Wojsko i siły bezpieczeństwa próbowały stłumić protesty. Rosła liczba zabitych i rannych. Kraj ogarnęła krwawa wojna domowa. Mimo że już pod koniec lutego 2011 r. Kaddafi stracił kontrolę nad znaczną częścią wschodniej Libii, zasobnej w złoża ropy naftowej, nie zamierzał oddać władzy ani pójść na ustępstwa wobec przeciwników. Była to sytuacja inna niż w Tunezji czy nawet Egipcie, gdzie protesty społeczne stosunkowo szybko doprowadziły do upadku reżimów. W Libii reżim Kaddafiego bronił się brutalnie i krwawo przez blisko pół roku.

Tymczasem Stany Zjednoczone, podobnie jak było to w przypadku Tunezji i Egiptu, początkowo zachowywały dystans wobec toczących się wydarzeń. Warto przypomnieć, że to w czasach G. W. Busha doszło do normalizacji stosunków amerykańsko-libijskich i to po długim okresie wzajemnej wrogości, u której podłoża legło poparcie Trypolisu dla działań terrorystycznych

⁸⁶ S. H a m i d, *Obama's Middle East Speech Didn't Clarify U.S. Role*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0520_middle_east_speech_hamid.aspx?p=1; por. S. M a l o n e y, *The Alliance That Dare Not Speak Its Name*, May 20, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/050_obama_middle_east_maloney.aspx?p.

w świecie. Dopiero uznanie przez Kaddafiego, że Al-Kaida zagraża również jego interesom, spowodowało zmianę frontu i polepszenie relacji Libii ze światem Zachodu. Libijski przywódca poparł inwazję na Afganistan i zadeklarował pomoc wywiadu, a następnie zrezygnował z planów budowy broni masowego rażenia⁸⁷. W 2006 r. Stany Zjednoczone otworzyły ambasadę w Trypolisie, a dwa lata później sekretarz stanu C. Rice złożyła w Libii oficjalną wizytę. Błędem było jednak twierdzić, że Libia zajęła jakieś szczególne miejsce w polityce amerykańskiej. Także w sensie gospodarczym nie można było mówić o ważnej roli tego państwa – amerykańskie firmy nie były specjalnie skłonne inwestować w Libii. Z tego punktu widzenia znacznie lepiej prosperowali tutaj Europejczycy – mniejsza odległość geograficzna oraz zainteresowanie dostawami libijskiej ropy i gazu powodowały większe zaangażowanie koncernów europejskich. Ale zarówno Europa, jak i Stany Zjednoczone podobnie oceniały Kaddafiego – uważano go za prowincjonalnego satrapę, o dziwacznych i maniackalnych skłonnościach. Później doszła też dość powszechna obawa o załamanie światowego rynku paliw jako efekt rewolty w Libii.

Jeśli więc na początku administracja Obamy wykazywała zainteresowanie pogarszającą się sytuacją w Libii, gdzie wojna domowa coraz bardziej eskalowała, to głównie z tego powodu, że znajdowało się tam ponad 600 obywateli amerykańskich. Dopiero gdy ostatni Amerykanie opuścili Libię, prezydent Obama – w odpowiedzi na brutalne akcje reżimu Kaddafiego – przystąpił do bardziej zdecydowanego działania. Przede wszystkim wprowadził sankcje gospodarcze wobec Libii – zamrożono 30 mld USD majątku libijskiego, zdeponowanego w USA. Równocześnie zdecydowano się podjąć działania w szerokim froncie międzynarodowym. Już 26 lutego 2011 r. na forum ONZ władze amerykańskie domagały się nałożenia na Libię embarga na handel bronią. Kilka dni później, 3 marca 2011 r. prezydent Obama ogłosił, że Kaddafi „stracił prawo do rządzenia i musi opuścić urząd”⁸⁸. Już wówczas w Białym Domu rozważano możliwość ustanowienia nad Libią strefy zakazu lotów, co miało uchronić ludność cywilną przed atakami lotnictwa wiernego Kaddafiemu. Co ciekawe, przeciwnikiem wprowadzenia *no-fly zone* był Pentagon, którego szef Robert Gates uważał, że włączenie się Ameryki w ochronę takiej strefy groziłoby wplątaniem jej w kolejny – po Iraku i Afganistanie – konflikt w kraju muzułmańskim⁸⁹. Mniej sceptyczna była natomiast sekretarz stanu Hillary Clinton i przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych John Kerry, zdecydowanie za taką formą ochrony ludności cywilnej opowiadał się wiceprezydent Joseph Biden⁹⁰.

⁸⁷ Jeszcze wcześniej, bo po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej, Kaddafi zdecydował się wydać Zachodowi terrorystów, odpowiedzialnych za zamach na samolot amerykańskich linii lotniczych, który w 1988 r. eksplodował nad Lockerbie, oraz wypłacić rodzinom ofiar odszkodowanie.

⁸⁸ President Obama and President Calderon of Mexico, remarks, Joint Press Conference, March 3, 2011, whitehouse.gov/the-press-office/2011/03/03/remarks-president-obama-and-president-calder-n-mexico-joint-press-conference.

⁸⁹ Defense Secretary Robert Gates, speech, West Point, February 25, 2011, www.defense.gov/speeches/speech.aspx?speechid=1539.

⁹⁰ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 161, 162.

Gdy w Waszyngtonie zastanawiano się nad przyjęciem opcji militarnej, ale o decyzje było trudno, to społeczność międzynarodowa okazała się bardziej zdeterminowana, co wydaje się sytuacją niemal bez precedensu. Dotychczas, w odniesieniu do wielu innych konfliktów i kryzysów, to raczej Ameryka dążyła do zastosowania skutecznych militarnych rozwiązań, podczas gdy Europa opowiadała się za mniej radykalnymi środkami. Tymczasem to właśnie niektóre państwa europejskie znalazły się na pierwszej linii walki o zastosowanie radykalnych wobec reżimu Kaddafiego metod. Wśród nich była Francja i Wielka Brytania. Wspierane przez Ligę Arabską, która tradycyjnie z niechęcią traktowała Kaddafiego, a teraz jej członkowie domagali się wręcz interwencji militarnej, państwa te przedstawiły w połowie marca 2011 r. na forum Rady Bezpieczeństwa projekt przewidujący zakaz lotów nad Libią oraz podjęcie wszelkich niezbędnych środków w celu ochrony cywilów, atakowanych przez siły wierne Kaddafiemu. Pomimo zastrzeżeń zgłaszanych przez niektórych członków swojej administracji prezydent Obama zdecydował się poprzeć wysiłki Francji i Wielkiej Brytanii. Zresztą wydaje się, że Biały Dom nie miał wyjścia – nie chcąc ponownie narazić się na zarzuty, skądinąd uzasadnione, że nie tylko przestaje pełnić rolę lidera na arenie międzynarodowej, ale wręcz oddaje pole w tak ważnym regionie świata, musiał włączyć się do akcji. Warto też podkreślić, że propozycja ta, choć wychodziła daleko poza ustanowienie *no-fly zone*, nie została zawetowana przez zwykle działające w ten sposób Rosję i Chiny. Tym razem przedstawiciele tych państw, obok Brazylii, Indii i Niemiec (sic!), jedynie wstrzymali się od głosu. W efekcie już 17 marca 2011 r. Rada Bezpieczeństwa przyjęła rezolucję nr 1973 w szerokiej formule zaproponowanej przez Paryż i Londyn.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że to nie Stany Zjednoczone były inicjatorem podjętych działań, raczej się do nich – po chwili wahania – przyłączyły. To francuski prezydent Nicolas Sarkozy i szef brytyjskiego rządu David Cameron, niejako debiutujący w roli światowego przywódcy, narzucili tempo i charakter akcji. W przypadku prezydenta Francji chodziło przede wszystkim o zyskanie punktów w zbliżającej się walce o reelekcję, zaś premier Wielkiej Brytanii, demonstrując swoją troskę o losy ludności cywilnej, pragnął odegrać ważną rolę na arenie międzynarodowej. Dla obu przywódców była to w każdym razie okazja do przypomnienia o mocarstwowej pozycji ich krajów i zarazem odwrócenia uwagi od różnych wewnętrznych problemów.

Należy jednak z całą mocą podkreślić, że postawa Paryża i Londynu nie zyskała powszechnego poparcia wśród państw europejskich. Przeciwno jakiegokolwiek akcji zbrojnej, a z taką należało się liczyć, ustanawiając strefę zakazu lotów i ochronę cywili, były m.in. Niemcy, Hiszpania, Włochy i Portugalia. W prowadzonej na arenie międzynarodowej ofensywie w sprawie Libii zabrakło też głosu europejskiej dyplomacji, kierowanej przez Catherine Ashton. A przecież wydawało się, że traktat lizboński wyposaży Unię Europejską w narzędzia, które będzie można wykorzystać w takich przypadkach jak konflikt w Libii, a wcześniej Egipcie czy Tunezji, aby zintegrować państwa

członkowskie wokół ważnego zadania z zakresu polityki zagranicznej. W tej sprawie bardziej zdeterminowany okazał się Parlament Europejski, lepiej może niż rządy odzwierciedlający poglądy opinii publicznej, który wzywał wspólnotę międzynarodową do interwencji w obronie atakowanej przez siły Kaddafiego ludności cywilnej⁹¹.

To zróżnicowane stanowisko rządów państw europejskich ujawniło się z całą ostrością wówczas, gdy trzeba było wziąć na siebie ciężar realizacji rezolucji Rady Bezpieczeństwa, czyli *de facto* interwencji militarnej NATO w Libii, ponieważ tylko Sojusz miał odpowiednie do tego środki i siły. Wśród państw, które odmówiły udziału w rozpoczętej 19 marca 2011 r. operacji wojskowej, nazwanej *Unified Protector* („Zjednoczony Obrońca”), znalazła się – obok m.in. Niemiec, Holandii i Turcji – także Polska, co było kolejnym już precedensem. W dotychczasowej, stosunkowo krótkiej historii naszego członkostwa w NATO należeliśmy do państw, które lojalnie i solidarnie uczestniczyły w operacjach zbrojnych, prowadzonych nie tylko zresztą pod flagą Sojuszu, ale także poza nim, u boku Ameryki, np. w Iraku, która – jak wiadomo – nie miała także przyzwolenia ONZ. Tym razem – choć operacja w Libii dysponowała zdecydowanie mocniejszym mandatem prawnym niż inwazja na Irak – Warszawa wyłamała się z tego frontu, uzasadniając swoje stanowisko brakiem żywotnych interesów w świecie arabskim oraz już wystarczająco dużym wysiłkiem militarnym i finansowym, ponoszonym przez Polskę w Afganistanie.

Ten brak solidarności wśród państw europejskich nie zmienił faktu, że w podjętej przez NATO operacji zbrojnej w Libii to nie Stany Zjednoczone odgrywały rolę pierwszoplanową, raczej starały się trzymać w cieniu lub – jak twierdziło wielu komentatorów – było to „kierowanie z tylnego siedzenia” („leading from behind”)⁹². Wprawdzie przez pierwsze dni przewodzenie akcji zbrojnej należało do Stanów Zjednoczonych, ale już pod koniec marca 2011 r. dowództwo przejęło NATO, a USA były zaledwie członkiem tej koalicji. Nie one podejmowały strategiczne decyzje i kierowały operacją. Stało się tak po raz pierwszy w 62-letniej historii NATO. Mieliśmy więc do czynienia z kolejnym precedensem. Cel takiego działania był jasny: administracja Obamy pragnęła uniknąć zarzutu, że inicjuje lub uczestniczy w kolejnej wojnie na terytorium państwa muzułmańskiego. Dlatego argumentowano, że nie jest to wojna, a tylko operacja pomocy powstańcom i ludności cywilnej w Libii. Poparciem tej tezy miał służyć fakt, że Biały Dom nie wystąpił do Kongresu o zgodę na wysłanie wojsk, co było konieczne w przypadku udziału w wojnie⁹³.

⁹¹ Zob. szerzej: R. H. S a n t i n i, *The Libyan Crisis Seen from European Capitals*, June 01, 2011, www.brookings.edu/papers/2011/0601_libya_santini.aspx?p=1.

⁹² Zob. M. S i n d y k, K. G. L i e b e r t h a l, M. E. O’H a n l o n, *Bending History...*, s. 158.

⁹³ Zgodnie z amerykańską konstytucją to Kongres decyduje o wojnie i pokoju. Ustawa z 1973 r., przyjęta pod wpływem doświadczeń z eskalacją wojny wietnamskiej, zezwala prezydentowi w nagłych wypadkach posłać żołnierzy do walki, ale powinien on w ciągu 60 dni uzyskać zgodę na Kapitolu. Jeśli tak się nie stanie, musi wycofać żołnierzy z terenu walk w ciągu kolejnych 30 dni; zob. szerzej: R. M. C h e s n e y, *A Timer on the Libya/War Powers Resolution Compliance Debate*, June 17, 2011, www.brookings.edu/opinions/2011/0617_war_powers_chesney.aspx?p=1.

Chodziło też o ograniczenie do niezbędnego minimum kosztów finansowych operacji *Unified Protector*, przerzucenie tych ciężarów na europejskich sojuszników. Amerykanom byłoby bowiem trudno zrozumieć, dlaczego w sytuacji kryzysu, gdy kraj boryka się z ogromnymi problemami gospodarczymi, a dług publiczny, wynoszący wówczas 14,3 bln USD, niemal osiągnął limit, to Stany Zjednoczone muszą znowu ponosić koszty finansowe konfliktu nie mającego z pozoru związku z amerykańskimi żywotnymi interesami.

Sytuacja, w której to państwa europejskie, w tym Francja, zdecydowały się podjąć działania zbrojne, a nawet je zainicjowały, wydawała się znacząca dla relacji transatlantyckich. Nawet jeśli uwzględnimy głównie wyborcze motywacje myślącego o kolejnej kadencji w Pałacu Elizejskim prezydenta Sarkozy'ego, to pozostaje faktem determinacja Francji i jej wola, aby działać z wykorzystaniem opcji siłowej. Nie tylko podważało to słynną tezę Roberta Kagana o Europie z Wenus, a Ameryce z Marsa⁹⁴, ale przede wszystkim pozwalało mieć nadzieję, że Stany Zjednoczone, pełniąc rolę „policjanta świata”, będą mogły liczyć na wsparcie ze strony sojuszników europejskich. Współdziałanie Europy w wypełnianiu tej misji wydawało się czynnikiem wzmacniającym układ transatlantycki. Było to w pewnym stopniu spełnienie oczekiwań Waszyngtonu, że nastąpi dzielenie ciężarów światowego przywództwa z sojusznikami europejskimi. Tym bardziej że Ameryka czasu Obamy z coraz mniejszym entuzjazmem była gotowa wypełniać zadania „policjanta świata”. Rozwijając myśl o współdziałaniu Europy, wręcz twierdzono, że operację w Libii należy traktować jako ważny test dla Starego Świata. „Jeśli sojusznicy europejscy zrealizowaliby główny cel – ochronę libijskich cywili, wtedy wysłaliby jasny sygnał, że pozostają wartościowym i skutecznym w zakresie bezpieczeństwa partnerem dla Stanów Zjednoczonych. Jeśli nie, to przyczyniliby się do marginalizacji Europy w polityce amerykańskiej” – przyznawano w europejskich dyskusjach⁹⁵.

Tymczasem towarzyszące operacji *Unified Protector* fakty zrazu nie napawały optymizmem. Nie chodziło tylko o brak wyraźnych postępów w prowadzonych działaniach zbrojnych oraz upór Kaddafiego, który nie zamierzał ustąpić i był w tym postanowieniu niezwykle zdeterminowany, ale o to, że w odniesieniu do relacji transatlantyckich nastąpił powrót do sytuacji znanej dobrze z przeszłości. Otóż stosunkowo szybko państwa europejskie, uczestniczące w operacji libijskiej, odczuły słabość swego potencjału wojskowego i w efekcie Stany Zjednoczone już po kilku tygodniach (cała operacja trwała ponad 7 miesięcy) musiały przejąć główny ciężar interwencji zbrojnej. To amerykańskie jednostki wykonały większość lotów nad Libią, Amerykanie zapewniali łączność i tankowanie w powietrzu, dominującą część ataków za

⁹⁴ Opinię, że Europa – w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych – słabsza pod względem militarnym wykreśliła siłę jako główny środek osiągnięcia celów politycznych, R. K a g a n zawarł w pracy *Of Paradise and Power. America and Europe in the New World Order*, New York 2003 (*Potęga i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, Warszawa 2003).

⁹⁵ N. B e n s a h e l, *Libya: a make-or-break moment for NATO*, March 25, 2011, www.guardian.co.uk/commentisfree/cifamerica/2011/mar/25/nato-libya/print.

pomocą lotnictwa i rakiet przeprowadziły amerykańskie siły zbrojne (ponad 90% odpalonych nad Libią rakiet to były pociski amerykańskie), Amerykanie dostarczyli siłom koalicji 66% personelu. Wszystko to kosztowało amerykańskiego podatnika grubo ponad 1 mld USD.

Niezdolność państw europejskich do podołania wyzwaniu w Libii i konieczność odwołania się w ogromnym stopniu do amerykańskich zasobów militarnych to potwierdzenie tezy, stawianej od dawna przez Waszyngton, że Europa daleko odstaje od amerykańskich standardów obronnych. Nawet Francję i Wielką Brytanię dzielił znaczny dystans w stosunku do potencjału amerykańskiego (Francuzi i Brytyjczycy już po 11 tygodniach akcji zbrojnej w Libii musieli oszczędzać amunicję, a półroczna wojna zredukowała ich budżety wojskowe na najbliższych kilka lat). Było to efektem trwającego już od wielu lat procesu zmniejszania przez Europejczyków nakładów budżetowych na obronność (rocznie nakłady te spadały w Europie o 45 mld USD)⁹⁶. Konsekwencje takiej polityki państw europejskich były z perspektywy amerykańskiej aż nazbyt widoczne i groźne dla zdolności militarnych układu transatlantyckiego. Miał więc rację amerykański sekretarz stanu R. Gates, gdy w czerwcu 2011 r., podczas spotkania szefów resortów obrony państw członkowskich NATO w Brukseli zarzucił europejskim sojusznikom brak woli wnoszenia większego wkładu w obronność i bezpieczeństwo. Uznał, że Europa nadal pozostaje w roli aktywnego kibica, cieszącego się równocześnie pełnymi gwarancjami bezpieczeństwa⁹⁷. Jakkolwiek te krytyczne uwagi padały w momencie, gdy trwała zainicjowana przez Paryż i Londyn oraz prowadzona z udziałem kilku państw europejskich operacja w Libii, z pozoru zaprzeczająca twierdzeniom szefa Pentagonu, to jednak trudno było nie zgodzić się z istotą jego zarzutów – Europa słabnie pod względem potencjału militarnego i nie podejmuje wyzwań w zakresie bezpieczeństwa na miarę swych możliwości oraz amerykańskich oczekiwań.

Ta przykra konkluzja, a także cały przebieg operacji, w której kolejny już raz Ameryka okazała się niezastąpiona, a Europa niezdolna do udźwignięcia własnymi siłami ciężaru długotrwałej operacji militarnej, z pozoru podważały tezę, stawianą początkowo przez wielu analityków, że interwencja w Libii może wzmocnić układ transatlantycki. Tym bardziej że przedłużająca się operacja *Unified Protector* i coraz bardziej dotkliwie nadwężenie zasobów państw w niej uczestniczących osłabiały wolę Europy kontynuowania tej misji. Takie symptomy dostrzegalne były nawet w Wielkiej Brytanii. Nie służyło to dobrze wiarygodności europejskiego filara NATO. Negatywny wpływ na układ transatlantycki musiał też mieć fakt, że spośród 28 państw członkowskich Sojuszu w zbrojnej operacji na terytorium Libii uczestniczyło zaledwie osiem krajów (nieco więcej brało udział w kontrolowaniu libijskiej przestrzeni powietrznej). To również stało się przedmiotem ostrej krytyki sekretarza obrony Gatesa

⁹⁶ Tamże.

⁹⁷ Cyt. za P. B e l k i n, *NATO's Chicago Summit*, May 14, 2012, Congressional Research Service 7-5700, CRS Report for Congress, R42529, s. 5.

w Brukseli, wymierzonej zwłaszcza w Niemcy i Polskę, ale też wobec państw uczestniczących w operacji za to, że czynią zbyt mało⁹⁸.

Chociaż pretensje kierowane pod adresem Polski można uznać za wysoce niesprawiedliwe, biorąc pod uwagę dotychczasową lojalność Warszawy wobec Waszyngtonu, narażającą ją nawet na swego rodzaju ostracyzm ze strony niektórych partnerów europejskich, to jednak brak solidarności sojuszniczej, do której i Polska się przyczyniła, był faktem niepodważalnym. Zaś w przypadku Niemiec – zdaniem wielu komentatorów – chodziło o coś więcej. Oprócz tego, że Berlin odmówił kategorycznie udziału w operacji *Unified Protector*, co znacząco osłabiało potencjał militarny, którym dysponował w Libii europejski członek Sojuszu, to jeszcze RFN znalazła się wraz z Rosją i Chinami w tej grupie państw, które podczas głosowania 17 marca 2011 r. w Radzie Bezpieczeństwa nad rezolucją nr 1973 wstrzymały się od głosu. Taka postawa Niemiec została krytycznie oceniona przez stronę amerykańską. Nicolas Burns, były ambasador USA przy NATO, a następnie podsekretarz stanu w administracji G. W. Busha mówił bez ogródek: „The fact that Germany, the largest European member of the alliance and a keystone country in many ways of the alliance, has not supported the NATO mission, I think is very detrimental to the mission”. Działanie Niemiec było – zdaniem Burnsa – tym bardziej niezrozumiałe, że operacja Sojuszu miała poparcie świata arabskiego oraz mandat ONZ⁹⁹. „It’s a shame that Germany could not see its way toward supporting it as well” – dodawał amerykański dyplomata¹⁰⁰.

Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że operacji libijskiej towarzyszyły okoliczności, które pozwalały wysnuć także pewne pozytywne konkluzje. Bo choć ujawniła ona po raz kolejny ogromny dystans dzielący USA i Europę w zakresie potencjału militarnego, a także pokazała brak jedności i pełnego poczucia solidarności wśród europejskich członków Sojuszu, to jednak zakończyła się sukcesem. Konsekwentne wsparcie NATO pozwoliło libijskim powstańcom przetrwać blisko pół roku i to mimo ataków sił wiernych Kaddafiemu, a następnie przyczyniło się do klęski i upadku dyktatora pod koniec sierpnia 2011 r. (miesiąc później Kaddafi został ujęty przez siły powstańcze i natychmiast zabity) oraz przejęcia władzy nad całym terytorium kraju przez powstańczą Narodową Radę Libijską (NRL). Już to umacniało rangę NATO jako czołowej, najbardziej skutecznej w świecie struktury polityczno-wojskowej. To przywrócenie wiary w siłę i skuteczność NATO miało ogromne znaczenie po przykrych doświadczeniach Sojuszu w Afganistanie. Nie dziwi więc zadowolenie, jakie dowództwo Paktu Północnoatlantyckiego prezento-

⁹⁸ Zob. S. F i d l e r, J. B a r n e s, *Gates Calls Others to Join Libya Fight*, „The Wall Street Journal” z 9.06. 2011.

⁹⁹ To poparcie świata arabskiego dla interwencji zbrojnej w Libii nie było powszechne. Część państw uważała akcję koalicji za zbyt radykalną, wychodzącą poza rezolucję ONZ, sprzeciwiano się zwłaszcza bombardowaniom, których ofiarami padali cywile. Natomiast zdecydowanego poparcia operacji udzieliły władze Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

¹⁰⁰ Wywiad N. Burnsa dla *Deutsche Welle* pt. *Berlin’s stance on Libya has isolated Germany in NATO*, 13.04. 2011, www.dw-world.de/popups/popup_printcontent/0,,14985036,00.html; zob. też J. D e m p s e y, *Germany Would Join Aid Mission to Libya*, „The New York Times” z 8.04.2011.

wało 31 października 2011 r., gdy to oficjalnie zakończono operację *Unified Protector*. „Robiliśmy wszystko, by was chronić. Razem odnieśliśmy sukces. Libia wreszcie jest wolna” – mówił wówczas Anders Fogh Rasmussen, sekretarz generalny NATO, zwracając się do Mustafy Adela Dżalila, szefa NRL.

Satysfakcja Rasmussena była tym większa, że „Zjednoczony Obrońca” stanowią, zwłaszcza w zakresie *crisis management*, pierwszy test nowej Koncepcji Strategicznej NATO, przyjętej 20 listopada 2010 r. na szczycie w Lizbonie. W dokumencie tym podkreślano, że możliwe jest działanie NATO *out of area*, gdyż „kryzysy i konflikty poza granicami NATO mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa obszaru i ludności państw NATO”. Jasno też artykułowano, że Sojusz „zamierza się angażować, kiedy będzie to możliwe i konieczne, aby zapobiegać kryzysom, opanowywać je, stabilizować sytuację oraz wspierać proces odbudowy”¹⁰¹. Zdaniem wielu analityków właśnie w Libii udało się Sojuszowi pozytywnie zweryfikować nową strategię¹⁰². Nawet zauważono, że misja libijska może stać się ważnym modelowym rozwiązaniem dla przyszłych operacji NATO¹⁰³. Należało bowiem założyć, że wobec nowych uwarunkowań amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa („zwrot ku Pacyfikowi”) takich sytuacji, gdy to inicjatywa podjęcia zbrojnej operacji należeć będzie do sojuszników europejskich albo Ameryka nie będzie odgrywać roli pierwszoplanowej, może się pojawić wiele. Przykład Libii już pokazał, że takie rozwiązania w ramach współpracy transatlantyckiej są możliwe i mogą zakończyć się sukcesem. Zakładając równocześnie, że długo jeszcze udział Stanów Zjednoczonych w interwencjach NATO będzie tak czy inaczej niezbędny. W tym więc sensie operacja *Unified Protector* stanowiła pierwszy przykład nowej fazy w stosunkach transatlantyckich¹⁰⁴.

Istniał jeszcze jeden aspekt sprawy, odnoszący się zresztą do całego regionu, wiosną 2011 r. ogarniętego rewoltą społeczną. Jakkolwiek trudno oprzeć się wrażeniu, że początkowo ani Stany Zjednoczone, ani europejski filar układu transatlantyckiego nie podjęły tego arabskiego wyzwania w sposób optymalny. Uderzało nie tylko „zagubienie” wielu rządów i polityków Zachodu wobec tego, co działo się w Tunezji i Egipcie, a także w niektórych państwach Bliskiego Wschodu. Jednak po wspólnym dla układu transatlantyckiego doświadczeniu libijskim, wspólnej – choć nie obejmującej wszystkich państw NATO – operacji zbrojnej pojawiła się realna perspektywa stworzenia nowej, niezwykle ważnej płaszczyzny współpracy Ameryki i Europy. Przyszłość państw arab-

¹⁰¹ „Strategic Concept for the Defense and Security of The Members of the North Atlantic Treaty Organization” Adopted by Heads of State and Government in Lisbon. „Active Engagement, Modern Defense”. Rozwinięcie niektórych założeń Koncepcji znalazło się w deklaracji ze szczytu: Lisbon Summit Declaration. Issued by the Heads of State and Government participating in the meeting of the North Atlantic Council in Lisbon on 20 November 2010. Press release communiqué de press. Press release PR/CP(2010)0155.

¹⁰² P. P a c u ł a, „*Unified Protector*” w Libii: wyzwania dla zarządzania kryzysowego, „Bezpieczeństwo Narodowe” II, nr 18/2011, s. 69-78.

¹⁰³ K.-H. K a m p, *The Transatlantic Link after Chicago*, „NDC Research Report” Research Division NATO Defense College.

¹⁰⁴ Zob. szerzej: K. M a l i n o w s k i, *Sojusz Atlantycki (2010-2012). Stan i perspektywy*, „Przegląd Zachodni” nr 1/2013.

skich, zwłaszcza tych, które właśnie weszły na drogę transformacji, zależała w dużej mierze od zewnętrznego wsparcia politycznego i skutecznej pomocy gospodarczej. To otwierało nowe możliwości współdziałania Stanów Zjednoczonych z Unią Europejską w akcji pomocy dla państw regionu. Chociaż trudno było przesądzić, czy wydarzenia w świecie arabskim oznaczały transformację ustrojową w kierunku państwa demokratycznego (czytaj: przychylnego Zachodowi), co byłoby procesem z punktu widzenia USA i ich europejskich sojuszników najbardziej pożądanym, czy zaledwie transpozycję władzy, a nawet zbudowanie systemu opartego na fundamentalizmie islamskim, co wydawało się wysoce prawdopodobne. Niemniej jednak udzielenie wielostronnej pomocy przynajmniej dawało jakąś gwarancję, że rozwój wypadków i charakter przemian w świecie arabskim spełni oczekiwania Zachodu. Bez takiego wsparcia gwarancji nie byłoby żadnej.

Zatem, jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to takie deklaracje – przypomnijmy – padły 19 maja 2011 r. w głośnym przemówieniu prezydenta Obamy skierowanym do świata arabskiego (np. umorzenie części egipskich długów wobec Ameryki, kolejne kredyty dla wzmocnienia miejscowej gospodarki). W ciągu następných kilkunastu miesięcy Amerykanie wsparli procesy transformacji w państwach „arabskiej wiosny” sumą ponad 500 mln USD¹⁰⁵. Także Europejczycy mieli szansę uczestniczyć w procesie transformacji państw arabskich w sposób praktyczny: przekazując technologię, koordynując i finansując różne programy, a także udzielając politycznych konsultacji i porad. Istniały opinie, że to właśnie Europa powinna wyjść z programem partnerstwa i pomocy dla zrewoltowanego regionu. Różnorodne doświadczenia w procesach transformacji oraz budowaniu demokracji niewątpliwie stanowiły niekwestionowany atut państw europejskich, w tym szczególnie z Europy Środkowo-Wschodniej. Wydaje się, że pełną świadomość tego wyzwania miała Warszawa. To Polska utworzyła przy libijskim rządzie powstańczym w Bengazi pierwszą unijną placówkę dyplomatyczną, a minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski należał do tych dyplomatów, którzy najwcześniej i najczęściej wizytowali region arabskiej rewolucji, deklarując pomoc w transformacji demokratycznej. Także Niemcy wyrażały wolę wspierania misji humanitarnych UE, kierowanych do ogarniętej wojną domową Libii, co było swego rodzaju formą ratowania swego wizerunku w NATO, po dość kontrowersyjnej postawie, żeby nie powiedzieć sprzeciwie, wobec operacji libijskiej¹⁰⁶. W każdym razie mógł to być wielki sprawdzian pozycji Europy w świecie i okazja, by wykorzystać *soft power*, czyli sztukę dialogu, wspierania i zachęty do przemian oraz pomocy gospodarczej i politycznej.

Warto w tym momencie zwrócić uwagę na jeszcze jedną wymowę tej kwestii. Otóż to, co kiedyś było domeną Ameryki – misja krzewienia demokracji

¹⁰⁵ Według T. C. Wittes, *Supporting Arab Transitions: Four Challenges for the Next U.S. President*, November 6, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/11/06-arab-transitions-us-president.

¹⁰⁶ Według informacji przekazanych deputowanym w *Bundestagu* oficerowie niemieccy służyli pomocą w sztabie NATO, kierującym operacją libijską; było to więc pośrednie wsparcie działań zbrojnych Sojuszu, „Der Spiegel” z 19.09.2011; zob. też J. Dempsey, *Germany Would Join Aid Mission to Libya...*

i budowy wolnego rynku, czyli słynne amerykańskie posłannictwo – mogło stać się tym razem wyzwaniem dla całej wspólnoty transatlantyckiej, tworząc jednocześnie dodatkowe uzasadnienie dla jej istnienia oraz ważne spoiwo jej funkcjonowania. Mogło też służyć zatarciu złego wrażenia, jakie w tym regionie stwarzały kolonialna przeszłość Europy oraz sojusz Ameryki z autorytarnymi reżimami, czyli wspólnemu poradzeniu sobie z „islamskim dylematem”. Dla realizacji tych zadań potrzebna była jednak determinacja, konsekwencja, duch solidarności i odpowiedzialności – cechy i atrybuty, których układowi transatlantyckiemu niekiedy brakowało. Czas był najwyższy, aby dla wzmocnienia relacji transatlantyckich do nich powrócić. Region Afryki Północnej mógł być tego doskonałym testem.

W tym kontekście wydarzenia z września 2012 r. zdawały się sugerować niepowodzenie zamierzeń Zachodu wobec państw „arabskiej wiosny”. Antyamerykańskie zamieszki, będące reakcją na rozpowszechniony w Internecie amatorski film obrażający proroka Mahometa, wyprodukowany prawdopodobnie w USA, których kulminacją było zabicie 12 września 2012 r. amerykańskich dyplomatów w Libii, w tym ambasadora USA, niemalże podważały sens wspierania arabskiej rewolucji. Tym bardziej że pomimo krytycznych wypowiedzi przedstawicieli administracji Obamy o filmie, protesty i demonstracje nie ustawały, a uzbrojone tłumy atakowały amerykańskie placówki dyplomatyczne niemalże w całej Afryce Północnej i większości państw Bliskiego Wschodu. Zamieszki objęły także inne państwa muzułmańskie, w tym tak odległe od regionu niedawnej rewolucji arabskiej, jak Bangladesz i Pakistan. Gdyby uznać, że rzeczywistym powodem masowych protestów był zaledwie kilkunastominutowy film, uważany przez wyznawców islamu za atak na ich religię, podobnie jak było to w 2005 r., po publikacji karykatur Mahometa przez duńską gazetę, można by wpisać to w charakterystyczną dla muzułmanów reakcję w podobnych sytuacjach.

Jednak fakt, że stało się to w świecie, który właśnie przechodził proces bezprecedensowej transformacji po obaleniu dyktatorów, do czego – jak w przypadku Libii – przyczyniła się znacząco wojskowa pomoc Ameryki i państw europejskich, zmuszał do postawienia kilku zasadniczych pytań. Najważniejsze z nich dotyczyło skali niechęci i wrogości świata islamu do Stanów Zjednoczonych, której ani pomoc dla powstańców libijskich, ani zadeklarowane wsparcie finansowe dla przemian w Egipcie, Tunezji czy Libii nie były w stanie zmniejszyć. Niewątpliwie prezydent Obama nie zdołał pozyskać sympatii świata arabskiego. To, że do zabicia ambasadora J. Christophera Stevensa, dyplomaty niezwykle zaangażowanego w dialog ze światem arabskim, doszło w Bengazi, stolicy prowincji Cyrenajka, w której rozpoczęło się powstanie libijskie i której nie utożsamiano z islamskim fundamentalizmem, nie napawało optymizmem.

Podobnie optymistycznie nie nastrojała sytuacja w Egipcie, gdzie w demokratycznych wyborach – zgodnie z przewidywaniami – zwycięstwo w styczniu 2012 r. odniosło Bractwo Muzułmańskie, a uchodzący za zagorzałego islamistę

prezydent Muhammad Mursi długo ociągał się z potępieniem aktów agresji na ambasadę amerykańską w Kairze. Zaś pod koniec września 2012 r. w wywiadzie dla „New York Timesa” nowy przywódca Egiptu ostrzegł Amerykanów: „Jeśli nie zaczniecie wreszcie nas szanować i nie dacie Palestyńczykom upragnionego państwa, czekają was dziesięciolecia arabskiej nienawiści”. Wszystko to nie wróżyło dobrze przyszłym relacjom Ameryki ze światem muzułmańskim i kazało wątpić w powodzenie i sens jej aktywnej pomocy dla państw tego regionu. Taki punkt widzenia prezentowała amerykańska prawica, która starała się uczynić z wydarzeń w świecie islamskim oręż w kampanii wyborczej. Krytykowano administrację Obamy za wsparcie udzielone „arabskiej wiosnie”, która – jej zdaniem – otworzyła islamskim radykałom drogę do władzy. Słabiej natomiast brzmiały wówczas głosy dowodzące, iż trzeba uwzględnić fakt, że „stary porządek na Bliskim Wschodzie rozpadł się raptownie, a nowy porządek kształtuje się powoli i w bólach”¹⁰⁷.

Wydaje się jednak, że Waszyngton nie miał wyboru. Odwrócenie się od tego regionu w reakcji na antyamerykańskie protesty i zabicie ambasadora oraz pozostanie w roli zaledwie biernego obserwatora zachodzących tam procesów nie byłoby działaniem roztropnym. W grę wchodziły bowiem różne czynniki, w tym choćby problem konfliktu bliskowschodniego oraz irańskich ambicji nuklearnych, których rozwiązania nie można sobie wyobrazić bez jako takiej pozycji Stanów Zjednoczonych w regionie. Dlatego tak ważne było, aby USA mogły oddziaływać na zachodzące zmiany. Amerykański ekspert Michael Doran pisał wprost: „The key question is not whether the Arab Spring has made the world a more dangerous place but, rather, whether we are shaping the new order to the best of our ability”¹⁰⁸. Miał tego świadomość prezydent Obama. Wprawdzie pytany o swoją ocenę zachowania prezydenta Egiptu wobec antyamerykańskich zamieszek stwierdził: „Nie uważamy Egiptu ani za sojusznika (sic!), ani za wroga. (...) Zobaczymy, jak zareaguje na ten incydent. Zobaczymy, czy będzie respektował traktat pokojowy z Izraelem”. Jednak w tym samym wywiadzie podkreślał: „To jest nowy rząd, który został demokratycznie wybrany i poszukuje własnej drogi. (...) Nowy Egipt dopiero się tworzy”¹⁰⁹.

Ta doza zrozumienia i tolerancji ze strony administracji Obamy wobec antyamerykańskich zachowań na Bliskim Wschodzie i Afryce Północnej z pewnością przyczyniła się do uspokojenia nastrojów. Prezydent Egiptu wydał oświadczenie, w którym ataki na ambasady uznano za niezgodne z zasadami islamu, zaś przywódcy Bractwa Muzułmańskiego odwołali planowane następne demonstracje w Kairze. Z kolei w Libii nie tylko władze, ale przede wszystkim mieszkańcy Bengazi, gdzie doszło do ataku na amerykańskiego ambasadora, podjęli skuteczną rozprawę z salafitami, czyli radykalnymi wyznawcami

¹⁰⁷ M. S. I n d y k, D. L. B y m a n, B. R i e d e l, M. D o r a n, *Around the Halls: Has the Arab Spring Made the World a More Dangerous Place?*, September 13, 2012, www.brookings.edu/blogs/up-front/posts/2012/09/13-around-the-halls-libya?ci.

¹⁰⁸ Tamże.

¹⁰⁹ Cyt. w: M. Z a w a d z k i, *Z Arabami po dobroci*, „Gazeta Wyborcza” z 15-16.09.2012.

islam. Zwłaszcza pod ścisły nadzór wzięto oddziały milicji islamskiej, co pozwoliło przynajmniej na tym etapie odsunąć groźbę dryfowania kraju w kierunku ekstremizmu.

Jak ważny jest stan relacji Stanów Zjednoczonych z regionem „arabskiej wiosny”, a zwłaszcza z Egiptem, można było doświadczyć pod koniec listopada 2012 r., gdy doszło ponownie do zaostrzenia konfliktu bliskowschodniego. Centrum dramatycznych wydarzeń, sprowokowanych przez dowództwo *Hamasu*, stanowiła po raz kolejny Strefa Gazy, z której kierowano na Izrael pociski rakietowe. Państwo żydowskie zareagowało, zabijając Ahmeda Dżabariego, jednego z czołowych przywódców *Hamasu*, atakując z powietrza Gazę i grożąc inwazją lądową. W tym momencie kluczowe znaczenie miało stanowisko Egiptu. Zdecydowane poparcie rządzącego w Kairze Bractwa Muzułmańskiego dla bliskiego im *Hamasu* oznaczałoby, że Egipt nie odegra tym razem roli mediatora i nastąpi eskalacja konfliktu z tragicznymi tego skutkami. Nie mniej ważna okazała się siła oddziaływania Waszyngtonu na nowych przywódców Egiptu. Jakkolwiek duże znaczenie mogło mieć zablokowanie przez Kongres amerykańskiej pomocy dla Egiptu do czasu uzyskania rozejmu w konflikcie Izraela ze Strefą Gazy, to nie można też bagatelizować wizyty sekretarza stanu Clinton w Kairze i jej rozmowy z szefem egipskiej dyplomacji. Te środki nacisku okazały się na tyle skuteczne, że podjęta przez prezydenta Mohammeda Mursiego misja mediacyjna zakończyła się zawieszeniem broni.

A zatem wnioski płynące z tych wydarzeń stanowiły potwierdzenie wagi Egiptu jako czynnika w konflikcie bliskowschodnim – sam prezydent Mursi wyrósł niemalże do rangi męża stanu. Dowodziły też roli, jaką mogą pełnić w tym regionie Stany Zjednoczone, jednakże pod warunkiem utrzymania dobrych stosunków z Egiptem i możliwości oddziaływania na jego politykę. *Last but not least* wskazywały, że konflikt bliskowschodni pozostaje jednym z najważniejszych wyzwań dla amerykańskiej polityki. Kierując się tym przekonaniem i nawiązując do słynnego w polityce Obamy „zwrotu ku Pacyfikowi”, M. S. Indyk apelował, aby prezydent Obama „pivots back to the Middle East once more, before he heads off to Asia again”¹¹⁰.

Formułując generalne konkluzje na temat amerykańskiej polityki w kontekście wydarzeń na Bliskim Wschodzie i Afryce Północnej, należy podkreślić znaczenie zachodzących tam przemian dla całego Zachodu, a dla Ameryki w szczególności. Trudno też pominąć wyjątkowe uwarunkowania pozycji Stanów Zjednoczonych w regionie związane, po pierwsze, z „islamskim dylematem” – wcześniejszym wspieraniem przez Waszyngton lokalnych dyktatorów. Ameryce nie udało się, mimo wysiłków, znacząco osłabić wymowy tego faktu. Po drugie – administracja amerykańska była nadal oceniana w świecie muzułmańskim przez pryzmat swoich zachowań w konflikcie bliskowschodnim, zwłaszcza polityki wobec Izraela i stopnia poparcia dla dążeń Palestyńczyków. Mając te czynniki na uwadze, trudno się dziwić, że politykę

¹¹⁰ M. S. I n d y k, *The Re-Pivot*, November 20, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/11/20-obama-middle-east-indyk.

Stanów Zjednoczonych wobec krajów „arabskiej wiosny” charakteryzowała ostatnio znacznie większa „delikatność”, niż było to wówczas, gdy np. Egiptem rządził Mubarak. Problem bowiem polegał jeszcze i na tym, że trudno było przesądzić, w jakim kierunku podążać będą poszczególne państwa, jaki charakter przybierze proces transformacji. Czy będzie to kurs ku demokracji, czy jedynie transpozycja władzy w ręce sił radykalnych?

Pomimo tych niewiadomych, Stany Zjednoczone starały się pozostawić wybór polityczny w gestii społeczności lokalnych, co było jedyną rozsądną i możliwą opcją. Każda inna niosłaby groźbę natężenia antyamerykańskich emocji, których i tak nie brakowało. Z kolei oczekiwanie, że to sojusznicy europejscy, w tym z Europy Środkowo-Wschodniej, odegrają większą rolę w przekazywaniu doświadczeń transformacyjnych, wydawało się doskonałym rozwiązaniem, nie tylko jako swego rodzaju nowe spoivo dla wspólnoty transatlantyckiej, ale przede wszystkim realna pomoc dla państw „arabskiej wiosny”. Pozostaje to jednak nadal głównie w sferze niezrealizowanego wyzwania. Problemem jest kryzys, z którym borykają się państwa Unii Europejskiej. Także Stany Zjednoczone, z największym trudem walczące z recesją, nie były w stanie zaoferować pomocy inwestycyjnej na miarę potrzeb i oczekiwań regionu. W efekcie wsparcie dla procesu transformacji krajów arabskich pozostaje wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych oraz ich europejskich partnerów. Jest to zadanie niezwykle ważne, mogące przesądzić o obliczu politycznym państw tego regionu i jego losach. Gdyż – jak pisze amerykańska ekspertka – „inwestycja w arabską demokrację jest dobrą inwestycją”¹¹¹.

¹¹¹ T. C. Wittes, *Supporting Arab Transitions...*

CZASOPISMA INSTYTUTU ZACHODNIEGO

- „Biuletyn Instytutu Zachodniego”
- „Przegląd Zachodni”
- „Siedlisko”
- „WeltTrends. Zeitschrift für internationale Politik”

KSIĄŻKI INSTYTUTU ZACHODNIEGO

2009

- Tomasz Budnikowski, *Bezrobocie wyzwaniem współczesności*, 351 ss., cena 35 zł
- Marta Götz, *Atrakcyjność klastra dla lokalizacji bezpośrednich inwestycji zagranicznych*, 398 ss., cena 39 zł
- Krzysztof Malinowski, *Przemiany niemieckiej polityki bezpieczeństwa 1990-2005*, 655 ss., cena 40 zł
- Moje Niemcy – moi Niemcy. Odpominania polskie*. Praca zbiorowa pod red. Huberta Orłowskiego, 574 ss., cena 45 zł
- Transformacja w Polsce i w Niemczech Wschodnich – próba bilansu*. Praca zbiorowa pod red. Andrzeja Saksona, 331 ss., cena 30 zł

2010

- Piotr Eberhardt, *Migracje polityczne na ziemiach polskich (1939-1950)*, 264 ss., cena 30 zł
- Maria Tomczak, *Ewolucja terroryzmu. Sprawy – metody – finanse*, 297 ss., cena 35 zł

2011

- Joanna Dobrowolska-Polak, *Ludzie w cieniu wojny. Ludność cywilna podczas współczesnych konfliktów zbrojnych*, 224 ss., cena 25 zł
- Gospodarka niemiecka 20 lat po zjednoczeniu*. Praca zbiorowa pod red. Tomasza Budnikowskiego, 238 ss., cena 30 zł
- Radosław Grodzki, *Problemy bezpieczeństwa Czech, Polski i Węgier w kontekście poszerzania NATO*, 368 ss., cena 30 zł
- Jadwiga Kiwerska, Bogdan Koszel, Maria Tomczak, Stanisław Żerko, *Polityka zagraniczna zjednoczonych Niemiec*, 399 ss., cena 35 zł
- Polski Ziemie Zachodnie. Studia socjologiczne*. Praca zbiorowa pod red. Andrzeja Michalaka, Andrzeja Saksona, Zanety Stasienuk, 288 ss., cena 30 zł
- Andrzej Sakson, *Od Kłajpedy do Olsztyna. Współcześni mieszkańcy byłych Prus Wschodnich: Kraj Kłajpedzki, Obwód Kaliningradzki, Warmia i Mazury*, 828 ss., cena 45 zł
- Stabilizacja nieładu i destabilizacja ładu*. Praca zbiorowa pod red. Joanny Dobrowolskiej-Polak, 262 ss., cena 25 zł

2012

- Bogdan Koszel, Krzysztof Malinowski, Zbigniew Mazur, *Niemiecka polityka wobec Polski 1990-2010*, 344 ss., cena 35 zł
- Solidarność humanitarna*. Praca zbiorowa pod red. Joanny Dobrowolskiej-Polak, 260 ss., cena 25 zł
- Stosunki gospodarcze między Polską a Niemcami 20 lat po zjednoczeniu*. Praca zbiorowa pod red. Piotra Kalki, 200 ss., cena 25 zł



INSTYTUT ZACHODNI

61-854 Poznań, ul. Mostowa 27

tel. 61 852 76 91

tel 61 852 28 54 (wydawnictwo)

fax 61 852 49 05

e-mail: wydawnictwo@iz.poznan.pl

www.iz.poznan.pl

ISBN 978-83-61736-38-7